

Książka niniejsza jest własnością  
Towarzystwa Czytelni Ludowych

## Szanuj Książkę!

...

Książka mówi do Ciebie:

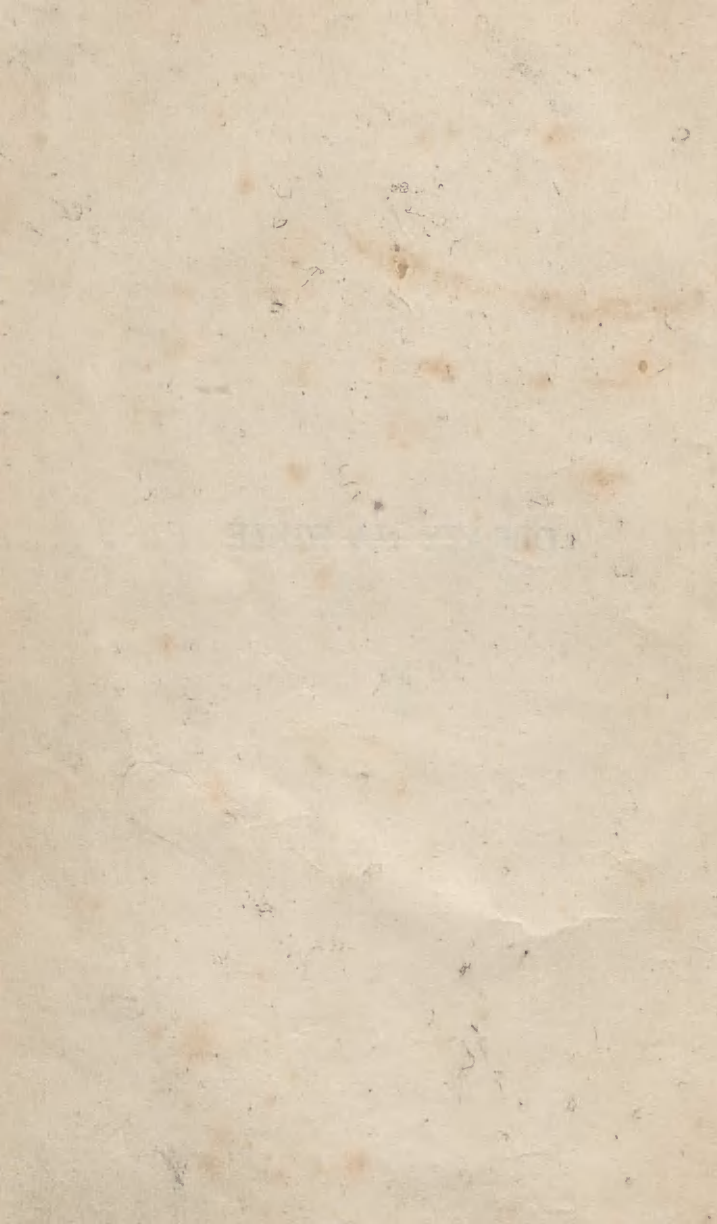
Jestem **własnością ogółu**, bo ze składek publicznych mnie zakupiono.

Kto mnie niszczy, **krzywdzi społeczeństwo**.

Dlatego obchódź się ze mną uczciwie, **nie plam mnie, nie niszcz, zawień okładkę moją w czysty papier** i nie przetrzymuj mnie dłużej, jak rzeczywiście potrzebujesz.

6141.15

OBRAZY NA SZKLE



B 335

FELIKS GWIŹDŹ

# OBRAZY NA SZKLE

NOWELE



NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA  
POZNAN — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

BIBLIOTEKA PUBLICZNA

OBRAZY NA SZKLE



13933

~~141156~~

884-3

Miejska Biblioteka Publiczna  
w Zakopanem

**8-3**



0003-013933-00

KV 14/86

TŁOCZONE W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA  
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ PAPIERNI „MALTA”

P/16/2015

## O ŻOŁNIERZU BŁĘDAWCU.

Nie tak to bywało u kumotra Jasienia, hej! nie tak, jak teraz.

Jeszcze dwa roki temu, kiedy syn przyszedł z wojny na święta, na krótki urlop, pyszniły się stare izby Jasieniów śmiechem i radością. Zeszła się młódź dorodna, zeszli się i poniektórzy starsi gazdowie i jak zaczęli kolendować Małemu, uciechy, figle i weselości wszelkie stroić i wyprawiać, zdawało się, że o pasterce zabaczą.

Łońskiego roku, pod jesień, syn zginął w bojach gdzieś u grodu Grodna, wodze przysłali ojcom ino strzeleckie piórko jego orle. Uciechy pognały w świat z obejścia Jasieniowego. Zgarbił się gazda, przygięła się ku ziemi gaździna, przycupły, zaryły się w rolę zabudowania bogate, skurczyły się izby przestronne.

We wilję nie przyszła już młódź wiejska na kołody, nie zadudniały już śmiechem ni radością złotawe izby, pachnące lasem i zbożem.

Po opłatku, po pełnym łez obiedzie zaskrzypiały drzwi Jasieniowe parę razy i ze-

szło się na pogwarke zaledwie kilku starszych gazdów. Zamieć harcowała po polach, smagany wichrem śnieg walił i bił o ściany, że aż się trzęsły i łkały wraz z tą obłądną kurniawą. Gazdowie posiedli rzędem na ławie i zakurzywszy fajki, jęli radzić, jęli szukać słowa, któreby dziś i Jasienia na ulgę przywiodło. Kumoter Bienias obrócił myśl ku wielkim wojnom minionym i o nich wszczął mowę.

— Jeszcze sie hań dymi z tych wojownisk okrutnych...

— Hej, hej — przyświadczyli insi. — O dymi sie, dymi...

— I ono sie nie prędko wydymi, tak myślę.

— O, bo nie.

— Nieprędko się to wydymi — ciągnął dalej kumoter Bienias. — Moiściewy — ozrachunki. Bili sie siedem roków, trza bedzie teraz rachować siedmdziesiąt siedm. I to ta nic majątki, nic urody, nic pałace, nic złota, — ale ludzie!

— Hej, hej! — rozległy się westchnienia po izbie.

— Ludzie! — powtórzył kumoter Bienias i spojrział litośnie na kumotra Jasienia.

— Ej ludzie, ludzie! — westchnął głęboko Jasień. — Ludzie, ludzie, Boże ty mój... Tego ta nikt już nie rozrachuje, nikto nie spłaci.

— Przecie! — utwierdził Bienias.



W izbie zaległa cisza. Jasieniowa ocierała łzy w kącie, Jasień przygarbił się het! i sapał głucho.

— Jak to rachować? — jał znowu Bienias wywodzić. — Jak? Dyć i tam, na drugim świecie muszą zachodzić w głowę, co to z tem wszystkim porobić i jako.

— Prawda, prawda — przychwalili gazdowie.

— Powiadają o błędawym wojaku...

Wszyscy spojrzeli uważnie na Bieniasa.

— Że chodzi, że całe pono regimenty chodzą...

— Cud Pana Boga!

— Cud! — powtórzy kumoter Bienias. — Dyć tu i dziś, o zmroku, przeszedł przez wieś taki jakiś błędawiec, ni człek, ni wojak, ni duch...

Kumoter Jasień podniósł oczy na Bieniasa.

— Był i u nas — wyszeptał. — Był... Podzielił się opłatkiem, zjadł ta cosi, niewiela, i poszedł. Wychodzę za nim na obejście — śladu — znaku...

— Tak wej chodzą, tak chodzą, po każdej wojnie — kiwał głową Bienias.

Wiatr jęczał i skuczał po obejściu...

— Chodzą — powtórzył jeszcze raz kumoter Bienias. — I nie przestaną, aż się wydymi... Powiadają powiadki, a i prawda na tem musi być, że ta najwięcej, jako zwyczaj-

nie, chodzi naszych, chłopskich. Taki ta sprosty chłop niewiele wiedział, co i jak, naco i poco, — kazali, bił. I powiadają o jednym takim wojaku, co nigdzie nie był zapisany, kto on i skąd, a bił sie za regimenty we wszystkich bojach u jednego wielkiego grodu w gradowym ogniu, w fujawicy okrutnej, padł podziurawiony i poszarpany przez kule. Juści dostał się na drugi świat. Obszarpany, zbłocony, zmrożony docna, myśli se, co tu począć, Strzelał, mordował, bił — o tem rzemieśle do nieba nie pójdziesz. Tak udał się on do piekła. Wchodzi w ziem, przebija sie przez korzeni-ska żywizny wszelkiej, przez krainy skarbów, aż dochodzi do parnej, upalnej głębi, do bram piekielnych. Przydźwierny djabeł pyta go, co-by tu chciał.

— Melduję sie do piekła — powiada on wojak. — Mordowałem ludzi na wojuie...

Przydźwierny machnął ręką, jakby tu o nic nie szło i posłał go do kancelarji. Tam sie wojak znowu melduje.

— Skądęś? — pyta go jakiś starszy.

— Z Polski.

— Zawojowaliście ta już choć z pół świata? — dworuje se ten starszy, a insze djabyły w śmiech.

Wreszcie zaczęli go szukać w papierach. Szukają, szukają — nie znaleźli.

— Niema tu takiego — powiada starszy. — Polskie papiery i ze sto roków nie będą w porządku, idź do czyścica, tam pewnie zbierają takich dziadów jak ty.

Poszedł wojak do czyścica.

Ale i w czyścicu nie był zapisany.

— Idź do nieba! — powiedziały mu czyścicowe duszyczki i pokłoniły się mu, jak świętemu.

Wojak nie wierzył. Jakże tu sprostemu chłopu iść z wojny do takich jasności. Jak się tam zameldować u tych świętych? — medytował. Ale poszedł. Szedł polami, równiami, górami, dolinami, halami — uboczami, miesiączkiem i gwiazdami, aż doszedł.

Przydźwierny wpuścił go do bram niebieskich.

— Coś ty za jeden? — pytają go święci pisarze.

— Taki a taki, z regimentu strzelców, u grodu wielkiego w gradowym ogniu, w fujawicy okrutnej zabity...

Szukają po papierach raz, szukają drugi i trzeci raz...

Niema. Niezapisany...

Zapłakał wojak nad swą dołą-niedołą, obrócił się ku drzwiom, by iść, gdzie oczy będą chciały, gdzie go nogi poniesą... I kiedy wyszedł już przed bramy niebieskie, dostrzegł szalasa ubogi na białej hali. I tam się pokie-

rował. W szalasię Dzieciątko Małe uśmiechało się na sianie, kosiało rączkami i uśmiechało się do wojaka.

— On was wszystkich odnajdzie i przytuli ku sobie — odezwała się Matka Dobrotliwa, nad Małym pochylona.

I pokłonił się wojak onej Matce Dobrotliwej, pokłonił się Dzieciątku i poszedł dalej wędrować, aż dowędrował na polską ziem. Po drodze — w mgławych światach — widział całe regimenty takich jak on. Chciał im obwieścić dobrą nowinę, wołał ich, znaki podawał, lecz słowa nie umiały jej objąć, nie umiały wyrazić. Wmieszał się tedy w one regimenty i z nimi waruje po szerokich granicach, pokił się Dzieciątko nie odezwie, pokił się ta nie wydymią ostatnie główne zawieści...

Kumoter Bienias odchrząknął, a potem dodał:

— On ta i ten, co tu dziś był u kumotra Jasienia, on pewnie będzie z tych...

— Może i to być — przytwierdzili inisi gazdowie.

— Może to był i syn — —

— Może i syn — wyplakał ojciec.

## URLOP.

### I.

Osowiałe, szaro-żółte twarze półnagich obszarpańców ożywiły się dopiero w chwili, gdy pan sierżant przeczytał gromkim głosem tytuł nowego punktu rozkazu dziennego: urlopy. Obumarły dwurząd połamał się w brzuchochate wygięcia, skrzydła jego zagięły się samorzutnie w półkole, liljowo-ziemiste, wychudłe ręce żołnierskie podniosły się jak na komendę do uszu. Ale pan sierżant po przeczytaniu tytułu zamilkł i zmierzył kompanję surowem spojrzeniem.

— Co to za banda? Co to jest — zgromadzenie u wójta, czy wojsko? Rozejść się!

Leniwo i ospale rozlazła się kompanja po okopowem, zaśmieconem i smrodliwem obejściu i pokornemi, milczącemi, jakby zawstydzonemi grupkami czekała niewolniczo i potulnie na dalsze rozkazy.

— Zbiórka!

Chłopi pozbierali się. Po paru komendach i coraz sprawniejszym, żywszem, chętniejszem

jakoby wykonaniu ich, pan sierżant dał znowu „spocznij!“ i pouczywszy głosem donośnym i stanowczym, jak ma się zachowywać żołnierz dwudziestego c. i k. austriackiego regimentu piechoty przy słuchaniu rozkazu dziennego, zaczął czytać dalej:

— Urlopy!

Niestety był to punkt z całego rozkazu najkrótszy. Urlop otrzymało zaledwie trzech szeregowych, wśród nich jednak jeden, który od początku wojny, od trzech blisko lat nie wyrzał na świat cywilny. To wywołało u ojców kompanji, wtłoczonych w twarde łańcuch wojny jeszcze w sierpniu 1914 r., pełną błogich nadziei, przesłodką ulgę. Niewielu było tych ojców, może jeszcze z pięciu — sześciu, lecz oni to, nikt inny, dźwigali na sobie hyr, dumę i krzywdę towarzyszy, co w bojach padli. Teraz podnieśli głowy. Zmiarkowali wlot, że sprawiedliwość zajrzała nareszcie i do ich rowu i może być, że niedługo wszystkich ich dojrzy.

Po rozkazie zeszli się społem i jęli radzić. Wynędziali, sterani, przygięci do ziemi i dziwnie do jej piachowatej barwy upodobnieni, zanurzyli się jak gromadka dzieci w jakąś nienazwaną, upojną otchłań marzenia o niesłychanej podróży „do kraju“, który już się był dawno sam, bez ich woli i wiedzy,

w bajkę przeodmienił. Niezwykłe, tajemnicze i pełne ponęt przygody tej słonecznej wędrówki rzuciły tysiąc zasłon na zapomnianą, jakby marną, głupią i niedorzeczną rzeczywistość. Wsłuchani i wpatrzeni w świat, który wyraźnie szedł z nimi wszędzie, choć nigdy nie dał się dotknąć, ująć, wżyć się w siebie namacalnie, chłopi, — jakby na dany znak, na samo brzemienie słowa „urlop“ — brnęli więc teraz bez umiaru, po chłopsku, brutalnie, po uszy, powyżej głowy, docna. Spokojne wsi, ugory, pełne kwiecistych stad krów i białych owiec, płótna, bielące się na cudobarwnej zieleni łąk, świegoty ptactwa, wyśkania dziewcząt płochych i radosnych, pachnące sianem i zbożem, rozkoszne miłowania... Hej! Rozśpiewane dziedziny, roześmiane drogi wśród złotych pól, niepodeptane ziela i uroda.. Omroczyła ich powielekroć przeżywana już chwila, chwila wzajemnych, tajemniczych zwierzeń, pełnych najukochańszych przygód i wydarzeń — wydarzeń, o których nikt z nich nie wiedział na pewno, czy były, czy się też tylko być wydawały. Lecz nikomu na myśl nie przyszło sprawdzać. Tomek, który dostał urlop, chciał się brać w drogę zaraz, natychmiast. Musieli się tedy starzy towarzysze śpieszyć, by go obarczyć na drogę całą swą tęsknotą za nią, całym jej czadem mamiącym,

wszystką uludą, jaką rów, karabin i śmierć wyhodować mogły.

— Czas mi iść — wyrwał się Tomek z objęć ich rozgorzałych oczu.

— Idź, idź, a pamiętaj... Zajrzyj do naszych rodzin, nasłuchaj się wszystkiego, napatrz się...

Tomek śpieszył się. Ziemia żółta i grząska, zorana pociskami i nędzą ludzką, prażyła jego stopy. Chciał iść, iść prędko, jak najprędzej i jak najdalej. Choć ogień nieprzyjacielski ujadał jeno stronami i rzadko, Tomka opanował nieznany mu dotąd, gorączkowy lęk, aby właśnie teraz, przypadkiem, ni stąd ni zowąd, nie znalazła go przeznaczona mu może oddawna kula... Przecież to się zdarzało tylu urlopnikom. Każda stracona tu minuta wydawała mu się pchniętym w grób rokiem wydarzeń, które tylekroć odurzały i jego i jego towarzyszy — miniętym w mroku oślepienia drogowskazem ku szczęściu, które gdzieś czeka, zapewne już na pierwszej stacji kolejowej, może nawet bliżej, przy drodze, przy zakręcie wyraźnie wiadomym, choć jakoby nieznanym jeszcze.

Jako wyrwał się wreszcie z tego czadu upojnej udręki i odetchnąwszy głęboko, ruszył ku kancelarjom dowództwa pułku, pozalätwiać ostatnie formalności. Ułatwił mu to sam pan sierżant, który urlopnikom ze wzglę-



du na ich powrót z daninami, szedł zawsze na rękę. Koło północy maszerował już Tomek wraz z dwoma oficerami i kilku urlopnikami z innych kompanij, którzy tak jak i on chcieli jeszcze przed świtem dojść do pierwszej przy froncie stacji kolejowej.

Szli wszyscy lasem starym i gęstym. Noc była czarna i sucha; poprzez gęstwą wierzchołków sosen wciskały się w mrok boru płonące jasno oczy gwiazd. Cisza jakby nad-słuchująca objęła całe przyfrontie. Wojska, zdawało się, zamarły po jednej i po drugiej stronie. Oficerowie — urlopnicy szli osobno, żołnierze osobno, oficerowie przodem, żołnierze o kilka kroków za nimi, tak jakby wracali z jakich ćwiczeń patrolowych, dawno, bardzo dawno przed wojną. Ale oficerowie mieli za krótki, za drobny krok. Tomkowi bardzo to zawadzało. Szedł on bowiem krokiem dziwnym, wojeńskim niby, równym i śmiałym, ale innym — czuł to, że innym, do niepoznania innym. Był to krok własny, nieprzymuszony, swobodny i radosny, taneczny prawie. Tak nie szedł Tomek blisko trzy lata. Towarzysze urlopnicy wpadali bezwiednie w nutę tego kroku, w nutę ochoczą i mocną, wydobywającą dziwne, dzwoniące echo z omszałej gładzizny leśnej drogi. I gdyby nie sprawdzanie przepustek przez liczne posterunki, rozsypane gęsto po zagmatwanych ścieżynach leśnych,

Tomek nie wiedziałby chyba nigdy, że szedł na urlop przez jakiś bór, z jakimiś ludźmi... Albowiem młode nogi niosły go same, a oczy nie widziały nic z zewnątrz. Gorzał w sobie światem, który wędrował z nim wiernie z okopu do okopu, z jednych na drugie bojowiska ludzkie i który zwolna zagłębiał się, zanurzał w istności jego, jedyniał, aż opanował go do dna i uczynił głuchym i ciemnym na wszystko, co powstawało i działo się poza nim. Był to świat mały, świat niemal jednej zagrody, paru stajań roli, niewielu ścieżek i łąk, świat jednych, dziwnie wpatrzonych weń oczu, świat prawie obojętny kiedyś. Ale ten świat tak rozrastał się, tak piękniał, tak mamił, że stał się wreszcie czemś świętem jakimś ołtarzem, przed którym gorycz rozłąki rada klękała w uniesieniu.

Bór skończył się. Z mroku przy lasku wybiegała biała taśma gościńca. Urlopuicy przystanąli w milczeniu. Byli zgrzani setnie. Uszli już chyba z dziesięć kilometrów bez wytchnienia. Poprawiwszy plecaki, skierowali się na gościniec, wzdłuż którego po lewej stronie czerniał wał toru kolejowego. Wod dali zamigotało jakieś małe światełko, odezwał się głuchy stęk maszyny, zadudniał stłumiony stukot przesuwanych wagonów. Byli już poza harcowskiem śmierci, w pobliżu pierwszej stacji innego życia.

## II.

Doszedłszy do stacji, Tomek oderwał się od swych towarzyszy i wmieszał się w gwar-ny tłum żołnierski, oczekujący skwapliwie od-jazdu pociągu. Żołnierze nawoływali się, śpiewali, gwizdali, klęli i zanosili się od śmie-chu, roznosząc wokół siebie ciężki opar ty-toniu, bagi, wódki, brudu, potu i krwi. Gwar wzmagął się i opadał, aż przygłuchł nagle i zamarł. Z tłumu wybiegł przed muzyczkę nieudolnie przebrany za kobietę jakiś łapiduch — żydek i skłoniwszy się czterem stronom świata, jał tańczyć, przegibać się, i prężyć, kusić i odpychać, uginać się pod ciężarem roz-koszy i znów ją brać, zdobywać, targać i niszczyć. Rozległy się namiętne ryki i radosne wycia, rozognione oklaski, gwałtowny tupot nóg.

— Jeszcze, jeszcze! — harczał rozwy-drzony tłum w parnem opustoszeniu nocy. Wszystkie języki i gwary monarchji splotły się tutaj w jeden zgodny, przeszywający krzyk palącego pragnienia. Lecz żydek znikł, jak niesamowita zjawą, a harmonijka różnęła już siarczyście marsza Rakoczego. Zachwiał się tłum i zakolebał, jak las pod nagłym, z niespo-dzianej strony nadbiegłym wichrem. Żołnierze z nizin węgierskich przepchali się siłą ku mu-zycze i z zamkniętymi oczyma, przypatrując

i zawodząc rozgłośnie, brnęli z zapamiętaniem w ogłuszający zamęt swej pieśni..

Tomek przesuwiał się wśród tłumu z miejsca na miejsce, bezwiednie i bez woli prawie. To wszystko, co się wokół działo, rozprężało się i w nim, rwało się jakby do skoku, chciało wybiec na świat, ale nie tu, nie tak jak tu, nie tak... Wyrwał się z tłumu, by spocząć gdzieś naboku. Lecz ledwie wyszedł z jednego rozgwaru, objął go, jakby w płonące obręcze, inny, odmienny, stokroć bardziej dojmujący i okrutny. O kilkanaście kroków od budynku stacji białął w szarawem świtaniu podłużny, z desek sklecony barak. Tutaj, wewnątrz i przed barakiem, na lepkiej od krwi, cuchnącej wszelką zgnilizną ziemi tarzało się w niemocy gęste, jakby zbite w masę, mrowisko rannych i chorych. Przed barak zajeżdżały co pewien czas chłopskie, małe lub większe drabiniaste wozy, z których zrzucano ludzi niemal jak snopki. Ludzie ci, czekając na zapowiadany im co kilka godzin, lecz ciągle opóźniający się pociąg, o którym tyle tylko wiadomo, że ma skądś przyjść i przewieźć ich gdzieś, w inny kraj, czy w świat inny — mnogo tu dogasali w nędzy i okrucieństwie opuszczenia, w ohydzie zapomnienia, w ofierze daremnej.

To też we wszystkim już i we wszystkich tylko wroga umieli się dopatrzeć. Pluli na

siebie własną krwią, miotali na siebie najwymyślniejsze przekleństwa, rzucali na siebie skuteczne, im tylko znane czary; albo znów Boga przyzywali na pomoc, za grzechy, wobec wszystkich głośno mówione, pokornie żalowali, winę za zabitych nieprzyjaciół na cesarzów i wodzów składając. Gromadny syk, jęk i ryk bólu wzbijał się i głucho, jak wzbija się i głucho łomot i trzask przerywanej walki.

Tomek, jakby wiedziony za rękę, wszedł pomiędzy legowisko tych ludzi. W pewnej chwili przeszył powietrze wstającego dnia krótki, stanowczy gwizd, zwiastujący rozkaz wsiadania do pociągu urlopowego. Tomek zawrócił, chciał biec. Tłum chorych i rannych zakłósał się również, by wstać i iść do pociągu — a gdy poczuł, że nie da rady, gdy dostrzegł posterunki, pilnujące go, gdy jeszcze raz doznał całej swej niemocy, wybuchnął otwartym, dziecinnym buntem. Lekarz, kilku posterunkowych i cały oddział wypasionych sanitarjuszy wlot opanowali położenie. Tomek stał w tym tłumie osłupiały. Wreszcie zerwał się i począł biec. W biegu przyczepił się do jego prawej nogi jakiś skamlący zdechlak. Tomek omal się nie przewrócił. Spojrzał za siebie. Mały, chuderlawy człowieczek obcej mowy, skulony u jego nóg, jak psina, mamrotał coś do niego, wskazując na-



pół świadomym wzrokiem pociąg. Tomek ruszył z miejsca. Lecz mały człowieczek nie chciał się odzepić. Wtedy Tomek kopnął go całą siłą, tak, że pętał potoczył się o parę kroków. wtył.

— Psie zdrowy, psie! — rozległy się za nim wyzwiska i przekleństwa.

— Psy, psy, psy! — huczało całe mrowisko.

— Ratunku!

— Uciekać! Uciekać!

— Bracia!...

— Gore, gore, gore!...

Tomek nie słyszał nic więcej. Rozdygotany docna wpadł do przedziału i znów zanurzył się w dusznym, ciężkim oparze zdrowych cielsk żołnierskich. Jacyś znajomi, jacyś towarzysze pułkowi zaofiarowali mu trochę miejsca między sobą. Usiadł. Nie widział nikogo, nie słyszał nic, a raczej i widział i słyszał wszystko, jakby przez gęstą, gorącą mgłę. Ocucił go nieco wstrząs wagonów, gdy pociąg ruszył. Wtedy, jak dziecko, rzucił się ku oknu, by patrzeć. Z boru, którym szedł nocą, wyjawilo się jasne, ogromne słońce. Szerokie łągi, czarniawe moczarzyska i puste, nieobsiane pola załśniły nieokiełznanym porywem świeżości, wszystką radością wiosny. Tomek wchłaniał ustami i nozdrzami upojne zdrowie onej chwili, oczami goniąc jak naj-

dalej, aż hen! po ostatnie kręgi i przechyliły. Wreszcie spojrział też na stacyjkę i baraki. Pociąg przyśpieszał biegu. Stacyjka zwolna znikwała — nad legowiskiem zaś chorych i rannych wzniosła się nagle czyjaś pięść i długo trzęsła się i szamotała w słońcu.

### III.

Jak Tomek dojechał do końcowej stacji, nie umiałby opowiedzieć. Pociąg włókł się i dniem i nocą przez kraje dziwne i nieznane mu, przez jakieś jakby załęcznione, przykucnięte osiedla ludzkie, mijał inne pociągi i wyrzucał i wchłaniał w siebie tłumy żołnierstwa i garstki pokracznie ubranych cywilów — lecz Tomek widział to wszystko przez jakąś mętną ścianę wodną. Drzemał i budził się, rzucał się do okna i wypatrywał stron rodzinnych, siadał znów, przymykał oczy i zanurzał się w ciepłe, błogie marzenie o tem, co będzie, co musi być, gdy wyjdzie z pociągu, gdy wreszcie stanie na drodze, wiodącej do jego wsi. Góry i doliny, zalane słońcem i pogodą, uśmiechem i miłością — góry i doliny. Dunaje i Dunajce, zwałnione falą wiosenną, rwącą śmiało po skałach i wantach, rozpierające się szeroko, szeroko, szeroko — Dunaje i Dunajce. I ludzie i ludzie, co nie znaleźli roboty wojennej, nieustannej gonitwy,

nieprzerwanego czyhania na ludzi, których trzeba zabić — ludzie, ludzie.

Pociąg stanął. Tak, to tu... Tu na pewno. Jeszcze raz wyrzał przez okienko i sprawdził. Przed stacją stało kilku chłopów, paru żołnierzy, ze dwie — trzy kobiety.

Twarze znajome, tutejsze. Tomek zarzucił plecak na siebie i pędem wybiegł z pociągu. Owionęło go mroźne, krzepkie powietrze poranka wiosennego. To tu, poznaje wyraźnie stację, studnię obok niej, walący się płot, poznaje nawet ludzi. Skłonił się chłopom, pochwalił Pana Boga. Chłopi kiwnęli głowami.

— Nie poznajecie mnie — zagadał Tomek przyjaźnie.

— Cóżby my cię nie mieli poznać? — odpowiedział jakiś gazda obojętnie.

— Na urlop? — zapytał jeszcze któryś.

— Na urlop. Na dwa tyżnie...

Chłopi skończyli z nim. Mieli swoje, ważniejsze sprawy do obgadania. Tomek postać jeszcze chwilę, pooglądał ich, chciał o coś zapytać, coś im powiedzieć — jakby nowinę jakąś odsłonić — ale nie umiał zacząć, oni zaś już całkiem odwrócili się od niego.

— No, to z Panem Bogiem — zsalutował im.

— Boże prowadź...



Tomek poszedł ze stacji do karczmy. Był głodny i zmordowany drogą, chciał podjeść i rozprościć kości. Karczmarz poznał go. Ale nie miał czasu na pogwarki, bo wojna nauczyła go rozumu. Każdy powinien pilnować swego nosa. Tomek zaczynał z nim i z tej i z tej strony, ale nadaremno. Karczmarz nie miał czasu. Podał Tomkowi jakieś jadło i zajął się innymi ludźmi. Tomek zażądał gorzałki.

— Nie wolno przy stacji.

— A gdzie wolno?

— Na froncie — odburknął karczmarz.

Ale po chwili podał mu wódkę w glinianym, chłopskim garnuszku. Było tego z pół kwarty. Tomek ucieszył się jak dziecko, i zaczął popijać. Karczma wypełniała się coraz bardziej. Ludzie wchodzili i tłoczyli się koło szynkwasu, szeptali coś z karczmarzem, znikali z nim na chwilkę i znów się zjawiali i wychodzili. Na oko zdawało się, jakby tu nikt nic nie kupował, jakby tych ludzi wiązała z karczmarzem tylko jakaś tajemnicza zмова, którą przyszli sprawdzać. I nikt nie hałasował, nikt nie opowiadał, nie zwierzał się z niczego, jakby wszyscy oddawna wiedzieli wszystko o sobie i o wszystkim. Tomek wodził po tych ludziach szeroko otwartymi oczyma, pozdrawiał co znajomszych, uśmiechał się do niektórych, wstawał nawet z ławy

i wyciągał do nich rękę, lecz nikt z nich nie zatrzymał się przy nim dłużej nad moment bąknięcia jakiegoś pustego, obojętnego słowa.

— Zaszła tu jakaś odmiana, czy co — medytował Tomek.

Medytacje te przerwały mu oczy, które z kąta izby, z poza kilku głów obcych pełzały po nim uparcie. Były to oczy małe, ruchliwe, żółtawe nieco i dziwnie łyskliwe. Tomek spojrział w nie raz i drugi i zmieszał się. Wypił resztę wódki i poprosił jeszcze o pół garnuszka. Karczmarz podał mu. Tomek jakby od niechcienia rozejrzał się po izbie i znów zetknął się z szukającymi go oczami. Z poza głów chłopskich wysunęła się wtedy zmięta, wyzywająca twarz kobiety. Wargi jej zdawały się coś szeptać, oczy przyzywać, a przechylenie głowy wabić i obiecywać. Ani się spostrzegł, jak ta kobieta wstała i zaczęła iść ku niemu. Lecz tylko otarła się o niego i przeszła dalej. Tomka oblała krew. Zrobiło mu się ciemno w oczach, nogi zaczęły dygotać, w głowie huczał mu jakiś upalny zamęt. Wypił resztę wódki, zapłacił, wstał i jeszcze raz powiódł oczyma za nią. Dostrzegł wtedy i drugą, młodszą i ładniejszą... Lecz żadna z nich nie zwracała na niego uwagi. Obie, wpatrzone w oberwańców, z którymi piły, na cały głos wymyślały teraz na rząd, który za mało im płaci za mężów,

co zginęli na wojnie. Towarzyszy ich nudziły te narzekania, zaczęli tedy nucić jakąś dziwną, pokraczną pieśń. Kobiety podjęły ją wlot i karczma zazgiełczała wyuzdaną piosenką o żołnierzu, co dostał urlop na zasiewy. Po każdej zwrotce rozlegał się dosadny, szeroki śmiech i następowała ogólna powtórka ostatniego wiersza, będącego sensem jej i omastą. Tomek stał na środku izby z szeroko otwartymi ustami, jakby i on uczestniczył w śpiewaniu, choć ani nuty ani słów nie znał. Nagle ludzie zaczęli się trącać łokciami i uciszyło się zupełnie. Wszyscy patrzeli na Tomka.

— Dziadu, koń ci wpadnie do gęby! — wrzasnął mu ktoś nad uchem.

I karczma zakołysała się od śmiechu.

— Postaw gorzałki — trącił go jeden z tych, co siedzieli z babami.

— Postaw liter, to z babami pójdziemy do innej izby — zmuszał go drugi.

— Chodź — wołała ta, z żółtemi oczyma.

Tomek nic nie rozumiał, nic nie pojmował. Wydało mu się nagle, że wpadł w ręce czarownic i djabłów, że karczma była tylko pozorem, aby go tu zwabić. Tak. Tak musiało być.

— Kto wy jesteście?! — jęknął rozpaczliwym, dojmującym głosem. A gdy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, jął się żegnać znakiem krzyża świętego i cofać ku drzwiom.

## IV.

W starej karczmie klekotał jeszcze i dudniał pijacki śmiech i chichot rozwydrzony. gdy Tomek dogramolił się ciemną, zatęchłą sienią ku wyjściu. Chciał stąd uciekać, pędzić na kraj świata. Ale coś go przysiadło, zważyło mu się okrutnym ciężarem na barki, omotało ramiona i piersi, obezwładniło ręce, powięzowało nogi.

— Hej, cóżby to miało być — otrząsnął się ze zmory.

Wyszedł przed karczmę. Chwiejąc się zataczając, dolazł do starego gościńca, którym miał iść — miał iść radośnie i wesoło — najpierw do miasteczka, a potem, jeszcze chwilę, do wsi, do swojej wsi rodzonej, do siwych ojców, do jedynych oczu roześmianych miękko i przytulnie..

Wyszedł już za obejście karczmisska, w szczerze, faliste pola. Od tych pól dał rzeźki powiew przebudzenia. Wiatr wiosenny rozganiał zaduch przebytej w karczmie chwili, upajał nozdrza orzeźwiająco świeżyzną. Przydrożne wierzby i brzeziny rozprężyły się do nowego życia. W niepozornych szczelinach, w malutkich rowkach, w suchych zwyczajnie łożyskach dawno pomarłych potoków bulkotała rozgłośnię, dzwoniła po skałkach i skakała, skakała namiętnie — przezysta, żywa,

uroczna woda. Wiosna szła tędy. Rozwlokła się smugami ciepłych mgieł nad zagonami, rozzwoniła się głosem wszelkiego stworzenia... I jeła wołać człowieka, by wyszedł orać i siać. Lecz człek tutejszy ogłuchł snać i oniemiał. Zrzadka jeno ukazywał się pług na roli — a i to zdawało się, jakoby nie człek, jeno sam ból szedł za nim, a smutek gorzki poganiał. Tomek wpatrywał się długo i uważnie w znajome strony. Jakoby nic się nie zmieniło, a przecie wszystko wydawało mu się inne — inne od wyniesionego stąd wspomnienia, dalekie od wypiastowanego w męce wojny wymarzenia. Coś tu się stało, czego pojąć nie mógł.

Na skrócie gościńca spotkał żołnierza, wlokącego się zwolna ku stacji.

— Pochwalony — powitał go wedle obyczaju.

— Na wieki wieków... Tomek, tyś to?...

I stanęło przed Tomkiem jakieś dziwaczne, skulone i zmięte docna zawiniątko, nakryte wielką czapką austriacką z pokraccie wysuniętym daszkiem, z pod którego wychylała się kończyzna nosa i pomierzwione, żółte wąsięta.

— Nie poznajesz mnie? — zagulgotało zawiniątko.

— Dyć jakoż cie mam poznać, kiedy cie nie widać?

Żołnierz przerzucił czapkę na tył głowy i pokazał Tomkowi swe oblicze, jakby z deszczułki wystrugane.

— Kubaś... A cóż ty tu robisz?

— Z urlopu. Zaś na front.

— Z urlopu? Bój się Boga, cóż ta u nas nowego? Jakże ta? Ojcowie moi, Jadwisia?

— Thie... tak ta... Jak to ta we wsi.

— Nale przecie...

— Bieda, zgryz... Niema tam co siedzieć. Takie zagniecione wszystko, takie jakieś złe, łakome, zawistne... Cud Pana Boga, co się porobiło. Mnie baba wygnała przed czasem, dyćbym jeszcze ze trzy dni mógł pourlopować... Nale pono za mało daje rząd za mnie, a za dużo jeść mi się chciało... No i tak.

— Nie pleć, nie pleć — przerwał mu Tomek.

— Iście, prawdę ci gadam... Dyć sam spróbujesz...

— No to z Bogiem — podał mu rękę Tomek.

— Z Bogiem.

I Kubaś zsunął czapkę znów na nos i powolutku jął się posuwać ku stacji. Tomek obejrzał się za nim. I nagle opanowała go chęć ucieczki stąd, chęć powrotu ku swym kilku towarzyszom wojennym. Zdało mu się, że tam, przy nich, w lepkiej ziemiance, czy w wilgotnym rowie zostawił coś, zapomniał. Tak. Czuł,

rozumiał, że nie idzie z tym gościńcem cały, że widzi ludzi i rzeczy inaczej, jak stamtąd, inaczej, inaczej... Jakby przez czarną mgłę, jakby pół-okiem, pół-okiem wypalonym i zwietrzałym, jakby jakąś resztą swej istności...

— O Jezu! O Jezu Nazareński!

I jał się Tomek mocować z sobą, wszystką wolą przywoływać jasność patrzenia i pogodę widzenia, co potraciły się gdzieś, nim tu dojechał. Na siłę szedł ze samym sobą, by się odgiąć i rozprościć wewnątrz. I tak próbując się z sobą, dostrzegł się nie tym, co szedł w ciemniuską noc przez czarny bór na urlop, nie tym, którego pochwyliła ręka jakiejś pokrwawionej i zawszonej nędzy, ani nie tym, ku któremu wypełzły w zaduchu karczmy czyjeś oślizgłe, wyuzdane oczy, ale kimś zgoła innym, kimś niespodziewanym, dobrze znanym w odległych marzeniach dzieciństwa... Ujrzał się druhem nad druchy, z dalekich wypraw idącym, z Janosikowych dali chwalebnych wracającym. Uboczami — górami, rzekami — dolinami idzie se jakby śpiewający. Wielki, groźny kłabuk chwieje się dumnie na jego głowie. Z pod kłabuka rozsypują mu się po szerokich i mocnych ramionach potężne stręki czarnych warkoczy. Na sprzączce, co mu spina na owłosionej piersi lnianą koszulę, ma znak, jemu ino wiadomy. Na szerokim

liptowskim pasie, pośród zdobień i parad, ma drugi znak, jemu ino wiadomy. Czerwone portki obcisłe zwiastują hyr jego śmigłych nóg.

Powiew dumy uniósł go jakby ponad ziemię i zanurzył w radości sławy, co z nim zaczęła iść...

Spojrzał dokoła. Było pusto. Nikt jeszcze nie wiedział, że on idzie, że wraca znów na chwilę. Na chwilę ino. Zajrzeć. Bo Janosik nie skończył dzieła. Musi wrócić ku niemu, by dalej „równać świat“... Spojrzał dokoła raz i drugi. Nikt nie dostrzegł go jeszcze. Tedy Tomek umyślił dać znać o swoim powrocie i zaśpiewał. Ale głos jego zamarł w niedalekim obrębie. Odpowiedziała mu jeno głusza pól i bulkot potoczków. Oracz nie odchylił się od pługa, siewca nie wstrzymał ręki w ruchu siejby, a nawet wrony nie podniosły głów. Zaczem chwyciła go chętką spróbować się z kimś na siłę — kto mocniejszy — lecz nikt nie stawił się jego śmiałości i mocy. Zmierzył się tedy z wysokim, gładkim palem telegraficznym, rozchwierutał go, uniósł nieco w górę i rzucił w przydrożny rów. W oszłomieniu siły, jak mocarz, jak jaki staroświecki, zgniewany bóg tutejszych stron, szedł rozjuszony i groźny i wyrywał słup za słupem i walił w rów, że ino druty jęczały i syzczały głośno. Nagle, gdy był już o kilka pa-



cierzy od pierwszych chałup, pojawiły się na wszystkich, wybiegających z miasteczka drogach — wozy, wózki, bryczki automobile, pełne wojska, pędzące gdzieś z zawrotną szybkością. Tomek usiadł przy drodze. Koło niego przejechało w najszybszym pędzie kilka automobilów, wypełnionych po brzegi oficerami. Zaczem pojawiła się konnica. U wylotu ulic miasteczka stłoczyły się w pokraczny węzeł i nie mogły ruszyć z miejsca zasobne tabory wojskowe i lękliwe furmanki chłopskie. Tomek otworzył usta szeroko. Ten nagły zamęt i rozgruch tak go pochłonał całkowicie, że nie dostrzegł, iż z tyłu, tuż za nim zatrzymał się nieduży oddział jazdy. Dopiero, gdy oficer najechał na niego i uderzył go trzcinką w ramię, Tomek odwrócił się.

— Gdzie nieprzyjaciel? W jakiej sile?

Nieprzyjaciel? Tomek nie widział nieprzyjaciela. Nie widział nic. Oddział rozsypał się na kilka małych patroli, które jeły dziwacznie skakać i uwijać się po rozmokłych zagonach. Z poza kęp i miedz — z różnych stron i w różnych kierunkach — podnosiły się, biegły i padały dziwnie sklecone tyraljery piechoty. W oddali, za większą kępą stała grupa oficerów z rozłożonmi mapami, z lornetami i rewolwerami u pasów. Tomek dziwował się temu wszystkiemu, jakby wyrwany z głębokiego snu. Nagle poczuł, że coś szarpie go za

nogawicę. Spojrzał. U jego stóp leżał w pełnym rynsztunku wąsiaty, tęgi sierżant. Szepcąc, przerażonym, błagalnym wzrokiem, wszystką swą dygocącą postacią pytał Tomka, czy „ich“ widział, w jakiej sile i czy wogóle można jeszcze ujść z życiem.

— Przecie front daleko — uspokajał go Tomek.

Podoficer dostrzegł zwałony słup telegraficzny i poplątane, zszarpane druty.

— A to?

— To ja — uśmiechnął się Tomek.

— Ty?

Błysk radości rozświetlił oczy podoficera. Zerwał się na równe nogi. Duch przedsiębiorczości, jednym słowem duch ofenzywy wstąpił w niego z całym swym wojennym majestatem. Dał znak. Tyralljera wyrosła znów z poza miedz i kęp i zgęszczając się coraz bardziej, otaczała i zamykała Tomka zwartym pierścieniem ludzi i stali. Po osaczeniu go, podoficer odebrał mu pas i bagnet, poczem zadał mu kilka pytań.

— Imię i nazwisko.

— Tomasz Skałuba.

— Polak, Rusin, Czech, Chorwat?

— Katolik, w rzeczy Polak.

— I szpieg?

— Żołnierz z 20 regimentu infanterji. Na urlop idę.

— Żołnierz? na urlop? Ładnieś zaczął ten urlop, ani słowa. Cały garnizon na nogach. Skuć go.

Ale nie było łańcuszków pod ręką. Więc otoczono go tylko jeszcze gęstszym pierścieniem.

— Nie wolno ci sięgnąć do kieszeni, nie wolno patrzeć przed siebie, ani w lewo, ani w prawo. Najlepiej patrz w ziemię — wydawał pan sierżant ostre polecenia, poczem rozesał gońców na wszystkie strony z meldunkiem, iż: „Sprawa przerwania łączności ze światem wyjaśniona. Sprawca ujęty. Podaje się za żołnierza c. i k. 20 pp.“.

## V.

Miasteczko było siedzibą szeregu dowództw tyłowych, nad któremi sprawował władzę zdziecinniały staruszek-general. Trzęsąc się jak osika staruszek obchodził trzy razy dziennie rynek miasteczka i trzy razy dziennie kontrolował jak najsumienniej, czy jego podkomendni noszą przepisowe guziki, pasy, naszywki, gwiazdki i t. d. Naogół był rad ze swego garnizonu, który ku jego stale wzrastającemu zdziwieniu w jakiś nieuchwytny, cudowny niemal sposób powiększał się z każdym dniem. Wprawdzie był to, jak wszystkie księgi i meldunki wskazywały, garnizon chorych i ozdrowieńców, a więc dla frontu mimo

najlepszych chęci i niewątpliwego patriotyzmu: — nieprzydatny, jednak generał często oddawał się słodkim rojeniom o chwalebnym wymarszu przy dźwiękach marsza Radetzkyego, tam, na pola ognia, dymu i chwały, gdzie na czele „swych chłopców“ — w obliczu królów i cesarzy — zmierzy się z dziką bestją wschodu. Z tych marzeń czerpiąc otuchę, nawet obecnie, gdy chłopcy jego nosili już parciane pasy, drewniane guziki i drewniane podeszwy — staruszek lustrował ostro swą załogę i w tym celu w soboty i niedziele wychodził nawet poza rynek, przed bożnicę żydowską i przed kościół. I oto właśnie w sobotę, z przed bożnicy porwali go oficerowie jego sztabu, wsadzili do auta i wywieźli. Generał, jak zwykle, nic nie rozumiał. Dopiero gdzieś na dwudziestym kilometrze, w głuchej wsi, w dowództwie obozującej tam kadry artylerji, powiedziano mu uroczyście, że — stała się rzecz straszna: miasteczko straciło łączność ze światem, z wyższymi dowództwami, prawdopodobnie wybuchła rewolucja, lub też cały garnizon padł ofiarą jakiejś okrutnej, wymyślonej zdrady. Generał zamyślił się i po chwili kazał wysłać, oczywiście drogą służbową, depeszę hołdowniczą do cesarza i wodza najwyższego.

— Właśnie telegraf zniszczony... W mieście popłoch...

Generał wyjął z za pasa rewolwer, obejrzał go dokładnie raz i drugi i w poczuciu zupełnej bezradności — oddał go na pamiątkę swemu adjutantowi. W tej chwili zapiszczał rzewnie polowy telefon artylerji. Adjutant kadry przyłożył słuchawkę do ucha i poprosił obecnych o ciszę.

— Tak. Kadra artylerji. Adjutant. U nas? Dotąd był spokój...

Oficerowie z generałem na czele otoczyli telefon półkolem.

— Adjutancie, adjutancie, kto to? Skąd? Kto mówi?

— Tss... proszę o spokój. Dowództwo garnizonu...

— Dowództwo garnizonu? Nowe?

— Nie. Proszę o spokój — błagał adjutant. — Nasz oficer...

— To dziwne...

— Tak. Pan generał z całym sztabem u nas. Co? Sprawa wyjaśniona? Sprawca ujęty? Afera! Żołnierz 20 pp.? Niesłychane! Siedem słupów! Warjat! Tak, słyszę, w tej chwili melduję. Jak? Zmowa? Spisek? No, to pan ma nową robotę! Oddawna już? Serwus! Skończyłem. Serwus!

Sztab z generałem na czele nie czekał już na meldunek adjutanta kadry. Adjutant osobisty zręcznie przypiął generałowi rewolwer do pasa i — postanowiono, ze względu na po-

wagę chwili, mimo prawdopodobnego niebezpieczeństwa, natychmiast wracać i to tą samą drogą.

Spokój i zimna krew dowództwa — rozumowano — wpłynęła odrazu ostudzająco na spiskowców.

Gdy auta wjeżdżały na rynek miasteczka, sztabowcom przedstawił się niepokojący obraz. Wojsko mieszało się z tłumem mieszczanstwa, chłopstwa, bab i dzieci i wyrostków. Stłoczone w dzikie węzły tabory wojskowe i furmanki chłopskie, wśród hałasu, gwizdów, okrzyków i śmiechu wydobywały się ku różnym uliczkom i wśród gromkiej wesołości tłumu rozjeżdżały się do swoich siedzib. Było widoczne, że stało się tu coś niesamowitego. Generał z rady sztabu rozkazał natychmiast rozpedzić ten tłum, nawet przy użyciu broni. W pół godziny rozlepiono na rogach ulic nowy rozkaz, przypominający miasteczku surowe przepisy o stanie wojennym, o godzinach policyjnych, ruchu ulicznym i t. d.

Równocześnie generał otrzymał od dowódcy służby wywiadowczej pierwszy meldunek, który brzmiał dosłownie:

„W chwili, gdy dowództwo z wiadomych przyczyn opuściło miasto, oddział służby wywiadowczej łączył się telefonem polowym z rozłożonemi w okolicy jednostkami. Wszyst-

kie telefony działały sprawnie. Meldunki były spokojne. Lecz popłoch, wzniecony najwidoczniej przez cywilną służbę urzędu telegraficznego, ogarnął już całe miasto i załogę. Na uspokajanie było za późno. Wobec tego także oddział służby wywiadowczej, po bezskutecznych próbach połączenia się ze sztabem dowództwa, spakował akta i autem udał się za nim. U wyjazdu z miasta auto zatrzymało się z powodu zupełnego zatarasowania drogi przez tabory. W tej chwili właśnie pluton landszturmu doprowadził tam ujętego na gościńcu osobnika, który obalił siedm słupów telegraficznych. Oddział służby wywiadowczej zawrócił natychmiast do miasta, telefonicznie znalazł sztab dowództwa w kadrze artylerji, zameldował o wyjaśnionem częściowo położeniu i natychmiast przystąpił do wstępnych badań ujętego.

„Ujęty nazywa się Tomasz Skaluba, lat 30, rzym.-kat., wzrostu wysokiego, barczysty, wybitnie zdrów i muskularny, umie czytać i pisać. Podaje się za urlopowanego na dwa tygodnie żołnierza c. i k. 20 pp. Pochodzi rzekomo z jednej z tutejszych wiosek (z Jedliny, gdzie nb. obecnie są magazyny amunicji). Do obalenia siedmiu słupów telegraficznych przyznał się odrazu, bredząc przytem zręcznie, że zrobił to — ot tak, na odmianę, na radość

swoją, na jakiś hyr (dosłownie!). Niewykluczone, że jest on wysłannikiem działających już i na naszym terenie terrorystów (komunistów?). Badania szczegółowe w toku.“

Generał zbladł.

— I to ja, ja musiałem dożyć takich czasów! — szeptał bezradnie, potrząsając złowróżbnym meldunkiem.

## VI.

Istotnie badania szczegółowe były w pełnym toku. Tomka zamknięto w małej, wilgotnej dziurze, zwanej aresztem tymczasowym. Ledwie zdążył rozejrzeć się w tej nowej, niespodziewanej swej siedzibie, gdy w zamku zaharkotał klucz i do celi weszło trzech oficerów. Jednego z nich znał już Tomek. Był to oficer służby wywiadowczej, który go badał w drodze do aresztu. Z rozmowy pomiędzy nimi wymiarkował Tomek, że drugi był sędzią śledczym, a trzeci lekarzem. Lekarz mówił po polsku, więc służył i za tłumacza.

— Jak się nazywacie?

— Tomasz Skałuba.

— To już wiadomo — wtrącił oficer służby wywiadowczej. — Jak się nazywa, ile ma lat, to wiadomo.

— Skąd jesteście?



Tomek zaczął spokojnie opowiadać. Jego wieś rodzinna jest tuż pod miasteczkiem, nazywa się Jedlina. Tam ma ojca i matkę, dwie siostry i brata, o którym nie wie, czy jest jeszcze w domu, czy już na wojnie. Pewnie na wojnie. On wyruszył w pole w sierpniu 1914 r., były akurat zbiórki. Pan Bóg dał ładne pogody, chleb rozmnożył się niezwykle. Pachło żytem...

— Do rzeczy, do rzeczy...

On nakładał akurat snop żyta na wóz, kiedy go wójt zapozwał. Płacz był w domu i we wsi, już mu się i tak wydało, że i te zboża i role zapłakały...

— Do rzeczy, do rzeczy...

I poszedł na tę wojnę. Zostawił ojca i matkę, dwie siostry i brata i... I tak. I ten cały miniony świat tych tu stron... Blisko trzy lata był w ogniu. Z linji nie odszedł ani razu. Nie chorował nigdy. Nawet ranny nie był, choć zdaloby się to było... Przecie by choć odpoczął.

— Odznaczenia macie?

Ma. Duży srebrny medal waleczności. A jakże. Dostał i on.

— Dlaczego nie nosicie?

Zgubił. Ale karteluszek od niego jest. Zabrał go pan sierżant przy rewizji osobistej.

— W jakim celu i z czyjej namowy dopuściliście się zbrodni, która was może zgubić?

Tomek spojrział przeciągle w oczy lekarza i wzruszył ramionami. Szedł na urlop, po trzech latach... Kiedy odchodził na wojnę, były zbiórki, naród był w polach, serca płakały za nami... Trzy lata grzebał się w ziemi, trzy lata w innym świecie, w obliczu śmierci. Aż dostał ten urlop. Jechał i szedł na ten urlop, na tę radość, na tę odmianę, a odmiana nie była ta, której czekał. No i poniosło go coś, poniosło samo. Siła rozprężyła się w nim i sam już nie wie, na co się ważył i co porobił.

— Panie doktorze — przerwał wywiadowca — jeszcze stosunek do tajnych organizacji... Może legjony. Może POW? Może spółka szpiegowsko-terorystyczna?

Doktor zadał Tomkowi szereg pytań o powyższym sensie. Tomek znał legionistów, spotykał ich w polu. Dobrzy byli chłopcy i obdarci. O inszych sprawach nie umiał się wypowiedzieć. Nie zetknął się z nimi. Ksiądz kapelan wprawdzie ostrzegał ich coraz częściej przed różnymi agitacjami, co niby przez front miały dochodzić, ale on się tem nie głowił.

— Kręci — wtrącił z niemiecka po polsku „Kundszafter“.

— Nie kręcę — z prostotą odparł Tomek. — Przecie i tak już wszystko jedno. Wiem, com strachu narobił...

Sędzia i lekarz parsknęli śmiechem. Oficer służby wywiadowczej spisał członków rodziny Tomka, nazwiska wójta i proboszcza Jedliny, dokładny adres polowy jego pułku i zabierał się do wyjścia, gdy Tomek — zmieszany i sploniony — oświadczył, że ma jeszcze prośbę.

— No? To będzie najważniejsze?

Wywiadowca rozłożył papier, by dalej notować.

— W trzeciej chałupie od wójta, w Jedlinie — jąkał się Tomek — siaduje jedna Jadwisia, cośmy się mieli pobrać. Jadwisia Biełańska. Miałbym wolę widzieć ją, miałbym wolę pomówić z nią... Miałbym wolę powiedzieć jej, żeby się dowiedziała, jak to było...

Wywiadowca zapisał adres Jadwisi, potem wszyscy trzej odeszli.

## VII.

Słowo o zgubie, słowo o śmierci, które przy badaniu padło i zostało w celi, jęło się teraz panoszyć w Tomku. Nic to ta wielkiego i straszego ta śmierć, boć widział gęste jej pokosy w polu, ale — to było w polu, na wojnie, gdzie rządzi jej ślepe prawo. Tu zaś przyszła ku niemu jakąś dziwną drogą, jakimś ukrytymi dotąd szczelinami i oto stoi już

przy drzwiach, trzyma wartę. Przyszła tu z jakimiś sprawami, których nie znał i nie zna. I śmieje się z niego.

I zadumał się Tomek docna. Taką oto pociechę przyniósł ojcom z wojny, z takim to hyrem przyszedł do Jadwisi. Miał głowę, przecierał oczy i wracał myślą to ku towarzyszom wojennym, to na ojcowskie obejście, gdzie widział matkę zapłakaną i siostry do-brotliwe... Stały w zieleni drzew bezradne i słabe. Jadwisia zaś nie dawała się ująć w wyraźny kształt. Jakby coś przed nią tała, odwracała się i nie chciała słuchać jego biednej opowieści o pełnym zdarzeń powrocie.

Tedy postanowił do niej napisać. Ostatni może list. Choćby i przyszła do niego, to nie zdąży powiedzieć jej wszystkiego...

Usiadł na wyrku, porwał zostawiony mu podstępnie papier i ołówek i zaczął zwolna ustawiać słowo obok słowa...

Do stołu siadam,  
papier rozkładam.  
Imieniem Marji i Jej syna  
witam sie z tobą, jedyna —  
z pośród tysięcy wybrana,  
wybrana i ukochana.  
Z tobą się Jadwiś witam,  
o twoje zdrowie pytam,  
o twoje zdrowie i powodzenie,  
moje ty, moje pocieszenie...

Przez wszystkie góry i gór pagórki,  
 zielone łąki i białe chmurki,  
 przez kwiat pachnący, różę czerwoną,  
 leluję złotą w halach złoconą,  
 przez wszystkie noce, dni i miesiące,  
 i przez te roki, wojną krwawiącą,  
 przez miłość, co sie sama sprawiła,  
 pytam, czyś jeszcze ta, coś była.

Tomek gorzał. Ręka mu się trzęsła, litery wielkie, poprzegibane na różne strony nie umiały się łączyć w słowa, które kłębiły się w nim i rozlażyły pod ołówkiem. Chciałby był to opowiedzieć, jak go jakiś uroczny czad omamił na froncie, jak w poniewierce rozłąki, w nadmiarze trudu wojennego i okrutnej, bezlitosnej tęskności — uobrazil sobie strony tu-tejsze i ludzi inaczej. Szedł tu ogrzać się w wiosennym śmiechu pól, w wiosennym śmiechu ludzi. I w drodze, na stacji jakiejś, w kolei czy w karczmie — nie wie, gdzie — nie wie, kiedy — coś rzuciło na niego czary inne, coś go musiało urzec, opętać, bo obcość i ziąb witał go wszędy. Tedy chciał się odgiąć, rozprościć, nie dać się zmorze, co go przysiadła. I rozprężyła się w nim niepojęta siła i jęła broić po gościńcu.

Tomek nie pisał zdań, jeno te i owe słowa, słowa konieczne i najważniejsze, aby je potem zebrać i złożyć w sens. I już kończył, już Jadwisię przyzywał upalnie, coby przyszła

i wysłuchała go i zrozumiała, gdy z poza drzwi doleciał go bezbarwny głos i żelazny chrzęst zmieniającej się warty. Wpatrzył się w drzwi i czekał, sam nie wiedząc, na co ni na kogo — aż głucha noc zapadła.

### VIII.

W drugiej izbie, tuż obok celi Tomka, wrzała praca od wczesnego ranka. Tomek zmiarkował z zasłyszanych słów, że o niego chodziło. Przesłuchiwano wieś — ojców, sąsiadów, wójta, wszystkich. Po jakimś czasie wszedł do celi „kundszafter“ z rodzicami Tomka. Staruszkowie popłakali się rzewnie. Zbiedzeni, sterani i zahukani nawet serc odsłonić nie śmieli. Patrzyli na syna i labiedzili. Tomek całował ich po rękach i uspokajał. Po chwili zastukał wójt Jedliny i przez drzwi podał oficerowi świadectwo moralności, wystawione Tomkowi przez proboszcza. Wpadł do celi także jakiś oficer, który wręczył wywiadowcy depeszę.

— A! To z waszego pułku! — zwrócił się wywiadowca do Tomka.

Istotnie depesza była z dowództwa pułku. Mówiła ona krótko i jasno, że Tomasz Skaluba jest prawym i służbistym żołnierzem. Dowódca kompanji ręczy za niego swoją głową.

Oficer wywiadowca zgłupiał i łamaną polszczyzną jął Tomka uspakajać.

— No... może da się jeszcze coś zrobić, może się was uratuje... Ale co powie sztab garnizonu!

— Panie poruczniku, moja prośba...

Oficer dojrzał w tej chwili zapisany papier na wyrku Tomka. Pochwycił go łakomie i zaczął odczytywać. Lecz nie mogąc sobie dać z nim rady, kazał zawołać sierżanta. Ale i sierżant nie umiał odczytać i wytłumaczyć tego pisania. Wtedy zawołano Jadwisię. Matka, zatyłkana nieco i oszarzała weszła do celi, jak zbity psina i wsunęła się w kąt koło drzwi. Tomek rzucił się ku niej. Lecz oficer odsunął go. Podał jej pisanie Tomka i kazał na głos odczytywać. Jadwisia mordowała się i stękała, zasłaniała oczy i wstydziła się, a wreszcie rozplakała się i oświadczyła, że nie wie, czego chcą od niej.

— Co to pisanie znaczy? O co tu chodzi? — pytał oficer.

— Nie wiem, pisanie i pisanie...

— Jadwiś! — jęknął Tomek.

— Coś ty porobił, coś ty porobił? — jęła Jadwisia zawodzić już na dobre. — Co ci było do tego telegrafu?

— Jadwiś...

— Czyś go ty stawiał, czy ci zawadzał, czy co?

Pod Tomkiem zadygotała ziemia.

— Jadwiś — zawołał na cały głos, jakby ją chciał przebudzić ze złego snu.

Ale Jadwisia, nie słuchając go i cofając się ku wyjściu, płakała rzewnie nad sobą, nad swą dolą niedobłą, nad swem daremnym, zmarnowanym czekaniem.

Wtedy Tomek rzucił się do kolan swych rodziców i obejmując je synowską miłością, załkał głuchym, bolesnym szlochem. Poczem zerwał się i podszedł do oficera.

— Opiszcie mnie dalej — prosił. — Róbcie ze mną, co trza, ino prędko, prędko. Dziś. Zaraz...

.....

Po wszechstronnej naradzie w sztabie garnizonu meldunku o całym zajściu wyżej nie przesłano, a Tomka Skalubę odstawiono do jego pułku. I — sza!

Sza!



## INKLUZ.

### I.

Chłopskiemu narodowi rzadko daje Pan Bóg okazję do śmiechu, ale jak już raz da, to dobrą i pamiętną. Jakoż nie opuściła ta łaska nawet Pyzówki, o której istnieniu nie to, że szerszy świat, ale nascy, podhalańscy ludzie zabaczyli doimentu jeszcze przed wojną. Nie dziwota zresztą, bo to wsiątko malutkie, chudobne, pomiędzy lasy i wyrwiska ciśnięte, a naród tamtejszy, mało o swój hyr dbały, kiedy niekiedy ino ukazuje się innym narodom. Prawdę rzekłszy, niesposób i ukazować się bardzo, bo czy to na jarmarkach, czy na odpustach, gdzie tylko pojawi się człowiek z wolem, zaraz lić hałaśliwa zerka i miele ozorem, że to niby ten już na pewno z Pyzówki. W rzeczy zaś zdarza się w Pyzówce ten i ów wołowaty, ale przecie nieszyscy. To też Pyzowianie, co honorniejsi, nawet wołowaci, chętnie wskazują na Rabę, Sieniawę, Ratułów i inne wsi, jako na gniazda i siedliska wołów i sietniactwa.

— Tam — powiadają — jak się już urodzi sietniak, to jałowca nie przeskoczy, a jak się pokaże na szyi wół, to jak wół. Wole pyzowiańskie jeszcze jakie takie...

Ale wydziwiać z ludźmi, pośmiewać się z nich potrafi każdy, póki mu dobrze; jak źle, to i w Pyzówce szuka podpory. Pyzowianie narozprawiali się o tem nieraz w czasie wielkiej, a potem i w czasie polskiej wojny, bo i ich silnie w ten zamęt światów i narodów poszło. Wół nie wół — wtedy nikt nie pytał. Jakaś ino stał na dwóch nogach, to cię stroili w mundur i marsz — do taborów, do jazdy, do strzelców czy do kanonierów. Wtedy wołów pyzowiańskich nikt nie widział. Tak tedy żadnego mału nigdy nie czyniąc, Pyzowianie odbyli wszystkie powinności nakazane i po staremu chcą znowu orać i siać, jako orali i siali dziadowie ich i pradziadowie.

Chcą, ale niebardzo mogą. Wszystko jakoś układa się zawsze przeciw Pyzówce. Okoliczne wsie zagazdowały się już jako tako, niektóre doprowadziły stan bydła, owiec, koni i innego drobiazgu do przedwojennej, a często i większej liczebności, w Pyzówce — jak się bieda wojenna rozparła, tak niesposób jej wypchać za wieś. I żeby choć ta pyzowiańska mizerota piła, łotrowała, jarmarczyła, wodziła się za łby po sądach, ale nie. Przygięty ku ziemi, w miarę warchotliwy, zacądrany, po

uszy w powszedniości swojej ludek ten czasem jeno podnosił głowy, jak złem przeczu-  
ciem zestrachane gęsi i raczej nowych nie-  
szczęść spodziewał się w takiej chwili, niż ja-  
kieś odnowy swej doli.

Tak też podniosły się głowy pyzowiańskie, gdy gruchnęła wieść po wsi, że rząd sprzedaje po bardzo dogodnych cenach konie wojenne. Na całym Podhalu nie odbyło się tyle narad gminnych, publicznych i poufnych, rodzinnych i kumoterskich, co w jednej Pyszówce. Pyszowianie wymiarkowali odrazu, że od stanowiska, jakie zajmą wobec rządowego targu końskiego, może zależeć pomyślna przyszłość nie tylko poszczególnych gazdów, ale i wsi całej.

— Będą wtedy i o Pyszówce inaczej śpiewali — przemknęło niejednemu gazdzie w myśli.

Było to już po najpilniejszych robotach wiosennych. Jako kto mógł, tak ta tej wiosnie zaradził, już to ostatnią krowinę zaprzęgając, już też sam z babą ciągnąc, a co starsze z dziecisk za pług stawiając. Przypiekającą potrzebą nie były więc chwilowo te koniska, ale trza było przecie myśleć i o jutrze. Rada w radę — gmina zostawiła obywatelom wolną rękę: kto chce, niech kupuje. Rząd głosi, że warto, gmina nie prociwi się temu, ale też i nijak nie doradza, żeby potem nie było jakich

mątów. Dobrze, ale niebardzo. Gazdowie, póki radzili między sobą, chętkę do kupna mieli, ale jak ino zaczęli sprawę ruszać z babami — wielu odpadło. Bo baby, jako baby. Ani tam może żadna tyle nie umyśli, co powie, ale jak jedna z drugą zaczną gadać — amen: robi się zamieć koło człeka i na niczem się już wtedy nie wyznasz.

— Kupujcie, kupujcie, nakupicie se ino kłopotu — warczały. — Rząd akurat Pyzówce sprzeda dobre konie. A juści. Pyzówka mu spać nie daje. Słychana rzecz? Pewnie tam ma kaliki jakie, z któremi nie wie, co zrobić i spycha to na biedny naród. A potem przyjdzie znowu do jakiej ruchawki i bądź zdrów — kupiłeś rządowe, dawaj pierwszy...

Takiej gwary nie umieli gazdowie odparować. Co prawda, to prawda — gadał nawet przysiężny, człek urzędowy — te konie są stemplowane i opisane, tak, że djasi wiedzą, co z tego może jeszcze wyjść.

W dzień oznaczony przez starostę zjawiała się na targu nowotarskim biedota z różnych stron — biedota taka, że i tych starganych wojną szkap nie miała bardzo czem płacić. Z Pyzówki było wszystkiego pięciu młodszych gazdów na targu, w tem trzech (jeden wołowaty!) przyszło ino tak, na prześpiegi i na zwiady, czy się zaś nie wyszykowała jaka nowa krzywda na naród chłopski. Dwóch

jednak, Szymek Kondziara, co to niedługo miał się żenić, i Wojtek od Skupnia Łaś, niedawno ożeniony — ci przyszli kupić i kupili. Kupili, bo musieli. Obaj sponiewierani wojną, obaj podziurawieni kulami ruskimi i taljańskimi, napół inwalidzi, choć im ta Bóg zostawił jeszcze i kości w kupie i władę w nich jaką taką, przecię nie mieli w sobie tego rozpędu, co przed wojną, nie mieli też i podpory żadnej na gazdostwie. Łasiowi było jeszcze pół biedy, bo żonę miał przymilną i obrotną, a gazdostwo wydzielone. Ale Szymkowi dopiekało. Dziewczę u Falfiarzów miał upatrzone, pono i przychylne, pobudować się miał czem i na czem, wszystko to jednak zdawało się nanic, bo starzy Kondziarowie ani słyszeć nie chcieli o jego żeniaczce, a cóż dopiero o wydzieleniu mu części zny. Dość się Szymek natruł, napieklował, nagroził nawet sądami, nim przygłuszył nieco domowy warkot przeciw sobie i jaką taką ślebodę w dziełaniu swem uzyskał. Kiedy umyślił konia kupić, stary Kondziara ino się zaśmiał.

— Kupuj — syczał. — Masz dudki, kupuj. Ja zorzę i zwieżę krową.

Ale Szymek postanowił mocno. Utytłął i udziadował trochę tych marek, do reszty i u Wojtka coś zapożyczył i wybrał się wraz z nim do miasta. No i kupił. Kupili obaj.

## II.

Zwiadowcy wrócili z miasta pierwsi i postawili całą wieś na nogi. Kiedy Wojtek i Szymek dowlekli się ze swemi szkapami na jakie dwa, trzy stajania od Pyzówki, wieś wyległa przed izby, ku opłotkom, na pola, gdzie kto mógł. Obaj młodzi gazdowie zmiarkowali odrazu, że tu już oszacowali ich mądrość na wieki. Szymek radził zawrócić i przejść przez wieś nocą. Ale Wojtek się zaciął.

— Niech patrzą choroby zatracone — kłął, zgrzytając zębami. — To wiedę, na co mnie stać. Ja tu nie spekulowałem przez wojnę...

— Na krzyżby cie rozłożyli, kieby mogli — dogadywał Szymek. — Na krzyż...

I szarpał swą kobyłę, żeby szła prędzej, ale szkapina nie mogła, bo zbiedzona była setnie. Kasztan Wojtka, wychudły tak, że kości zdawały się sterczeć na nim, ruszał się podobnie, jak i kobyła, chwiejnie i niepewnie. Doszli do pierwszych chałup. Odtąd zaczynała się droga istic krzyżowa, droga przez wieś. Z każdej szpary, z każdego okienka, z za węgłów i z za płotów — zewsząd wyzierały oczy, oczy i oczy. Oczy ciekawe i szacujące odrazu konie, chłopa i jego rozum, oczy zazdrosne (na wszelki wypadek!) i dokuczliwe, oczy do rozpuku roześmiane, najgorsze ze złych. Na dobitek kobyłsko Szymka koło obejścia samego

wójta rozkroczyło się szeroko, jak nie przy-  
mierzając krowa, zrobiło swoje, a potem nie  
mogło ruszyć z miejsca.

— Ta będzie po cysarzu! — syknął ktoś  
z za płotu.

I w te loty znalazło się koło kobyły paru  
gazdów, którzy z miłosiernym uśmiechem  
śpieszyli pomóc Szymkowi poskładać — jak  
powiadali — tych parę kości i popchnąć pod  
górkę... Szymka omal wciurności nie porwały  
i na kobyłę i na ludzi. Ale hamował się. Ha-  
mował się i głaskał ją, ludziom dziękując za  
pomoc. Ruszyła wreszcie. Nie uszła jednak  
i stu kroków, gdy znów przed Falfiarzowem  
obejściem rozkroczyła się i na nowo wrosła  
w ziemię. Stanął i Wojtków kasztan, zwie-  
siwszy smętny łeb ku ziemi. Falfiarz oderwał  
się od okna i wyszedł z izby ku młodym gaz-  
dom. Do Wojtka nie miał żadnej śmiałości, ale  
Szymkowi, który u niego chciał się żenić,  
przychwalił odrazu, że niby kobyłę kupił roz-  
łożystą i niemitrężną. Obejrzał ją uważnie,  
a gdy dostrzegł i narodził wielkości pięści na  
jej szyi, zaśmiał się radośnie.

— Będzie pasowała do Pyzówki. Wól do  
wola.

Szymek zaciał zęby. Żeby nie Falfiarzowa  
Wiktusia, żeby nie ona, Boże ty mój! — nie  
dałby on tu mamrotać i mlaskać temu gratowi,  
ale... nieporada. Łagodnie i opaternalnie jęli obaj

gazdowie przegadywać do swych kalek, aż pierwszy ruszył kasztan. Poruszyła się wreszcie i kobyła, ale — jakby już dość mając wszystkiego — zboczyła nagle od drogi i jakąś przemocną wolą skierowała się ku Falfiarzowej stajni.

Z za wszystkich węglów rozległ się nieokielznany śmiech.

— Na namowiny idzie!..

Teraz już i Falfiarzowi dość było tego. Szymkowi nie był bardzo przeciwny, Wikтусię tak jakby mu przyobiecał, o weselu sam przebąkiwał, ale żeby przez jego głupią szkapę przyjść z familją na śmiech ludzki — to nie mogło być. Wyrwał kulik z płotu i przyodział nim szkapinę tak rzetelnie, że omroczona przygięła się i cofnęła bezwolnie ku drodze.

Szymek zgrzany, zziajany, zły, rękawem otarł pot i z trudem tamowane łyzy, zepchnął siłą-mocą kobyłę na drogę, wziął twardo za pysk i pchał ją dalej, ku swemu obejściu.

### III.

Kiedy się dowłókł nareszcie przed rodziną siedzibę Kondziarów, na obejściu zastał piskliwy lament i piekło istne. Gore, czy co — zaląkł się Szymek. Stary Kondziara, nie wyjmując z ust fajki, kłął, bestjował, za głowę się chwytął i gonił po oborze, jak oparzony,



matka zaś i dwie siostry labiedziły i jajały, jakby je kto dorzynał.

— O, na co nam też to wyszło, na co nam to wyszło! — skuczała Kondziarowa, zalewając się rzewnymi łzami. — Tyle pieniądze i tyli wstyd!

— Dyceś nas już wygazdował, wygazdował na wieki! — piszczaly w niebogłosey siostry.

— Prze Pana Boga żywego, czyście zmysła potraciły, czy was co opętało?! — jęknął Szymek.

— Idź, skądęś przyszedł, z tą zatrata — skoczył do niego ojciec. — Jeszcze nam takiej biedy brakowało!...

— Tu już nasz koniec.

— Utopił nas...

— O Jezu Nazareński!

— O Matko Ludzimierska!

— Dy przecie — syczał ojciec — gdzieś ty rozum potracił, żeś takiego grata tu sprowadził?

— Nie daliście na niego nic, czego chcecie? — uniósł się Szymek.

— Czego chcę? Żebyś mi sie tu nie plątał z tem dziadostwem.

I stary Kondziara skoczył ku drzwiom od stajni i krzyżem rozłożył się na nich.

— Nie wpuściecie mnie?

— Nie!

— Tato, pytam sie was, czy mnie wpuściecie, czy nie. Bo jak nie, to tę szkapę tu trupem kładę i... i...

Szymek, trzymając końsko za pysk, na-  
bliżył się do ojca twarzą w twarz. Baby pod-  
niosły pisk na nowo i rzuciły się, by ojca ode-  
rwać od drzwi. Stary Kondziara, klnąc i fu-  
cząc złością, ustąpił wreszcie synowi i pognął  
wraz z babami do izby.

Szymek wprowadził kobyłę do stajni, rzu-  
cił jej trochę trawy, напоił ją i poszedł do  
Skupniów. Wojtek był razem z Jagniesią  
w stajni. Wprowadziwszy konia za przegród-  
kę i przychyliwszy nieco drzwi, aby nikt  
z drogi nie zazierał, jęli młodzi oglądać do-  
kładnie swoje szczęście czy nieszczęście.

— Układ ma — zawyrokował Wojtek. —  
Niech ta gadają, co chcą, ale układ ma. Kość  
ładna w nim i delikatna, ino na kości niema  
nic. Ale jak na wewnątrz zdrowy, bedziemy  
mieli, Jagnieś, pociechę i wsparcie. Nogi nie-  
bardzo pewne, ale może to od zabiedzenia.  
W drodze dziadował. Ale znowu nie dziwota,  
bo to z frontów zwiedli, z daleka.

— Układ ma — przymilnie zaszusciała i Ja-  
gniesia. — Oczy takie rzetelne...

— No, widzisz — cieszył się Wojtek. —  
Bieda to jest, bo bieda, nale cóż tu dostaniesz  
na zwykłym jarmarku za te pieniądze?... Nic.  
Trzęsie sie z drogi, jak osika...

— Inwalida — załkała Jagniesia. — Dyć  
tak sie trzęsie, jako i ty, kiedyś z wojen wró-  
cił... Sponiewierane to, zmordowane, zgonio-

ne, jako i ludzie wojenni, ale przecie odgina się wszystko.

Wojtkowi okrutnie dogodziły te Jagniesine słowa. Chwycił ją wpół, przygarnął mocno ku sobie i uścisnął, że aż jęła.

— Tak mi gadaj, Jagnieś — tulił ją ku sobie i kolebał — tak mi gadaj, a wszystko będzie dobrze. I koń się ruszy ku życiu od miękiego słowa.

I młodzi gazdowie zabaczyli do znaku, że są w stajni. Wtulili się w siebie, patrząc na konia, a widząc jakiegoś inszego, ale jakby tego samego, wiozącego ich na odpust do Ludźmierza albo Odrowąza — z malutkim chłopcem, albo z dwoma, albo i z czterema, a z dwiema dziewczynkami...

Przerwał im to zapatrzenie Szymek, który nie zastawszy ich w izbie, zmiarkował, że będą w stajni.

— Nieporada wytrzymać — narzekał przed Łasiami, opowiadając, jak go rodzina powitała. — Dyć mi i wojna tak nie dojadła, jak rodzony ojciec. Rodzony ojciec, rodzona matka i siostry... Cóż mi teraz począć, co począć?

Wojtkowie uspokajali, jak mogli, zbolalego Szymka, wreszcie wzięli go z sobą do izby. Jagniesia zakręciła się chyżo koło jadła, a gdy postawiła na ławce miskę z kapustą i ziemniakami, wepchnęła Szymkowi, który się odżegnywał, łyżkę do ręki i kazała jeść. Uciszyło się

w izbie, jakgdyby wszystko zamarło. Chłopi byli głodni. Od wczesnego rana nie mieli nic w ustach. To też ciszę przerywało czasem tylko chłonna zgrzytnięcie zęba o ząb, lub smakowite mlaśnięcie językiem. Jedli. Jagniesia im dołożyła raz i drugi, dała im wkońcu po garnuszku maślanki, którą jednym łykiem do dna wypili, poczem przeżegnali się krzyżem Pańskim i zgrzani trochę powstali. Wojtek poweselał, a i Szymkowi podniosła się głowa.

— Ja ci ino tyle radzę, Szymuś, ożeń się i oderwij się z chałupy na swoje — mówił Wojtek, zapalając ogarek papierosa. — Wyczęściować cię muszą, boś w rokach, wojneś odbył, prawo za tobą. Będiesz se gazdował tak, jako i my, i spokoju ci nikt nie naruszy, póki się nie zestarzejesz i nie będziesz musiał zaś ty wyczęściować swojego drobiazgu — zaśmiał się. — Wiktusia czeka u Falfiarzów...

— Czeka ci tam — machnął ręką Szymek. — Nie widziałeś, jak pśkała ze śmiechu, jak ją dusiło, kiedym tej kobyły nie mógł ruszyć z przed ich okien...

— Babskie śmiechy.

— Ale dokuczne...

— Głupność. Ostro bierz się do rzeczy. Namowiny zrób, kobyłę pój mlekiem i na łąkę wyprowadzaj, a do ślubu ona cię powiezie i to galopem.

Wojtek rozgadał się na dobre, a co powiedział, to rada w radę. Co jedna to lepsza od drugiej. Już się i Jagniesia pośmiewała z niego, tak się rozruszał.

Przymierzchało, kiedy Szymek wyszedł od Wojtków. Wypoczęty conieco, zakręcił się po swoim obejściu raz i drugi, wreszcie zbadawszy, że ojca niema w domu, a matka z siostrami snują się po sieni i po izbie, przygotowując wieczerzę, opaternie wsunął się do stajni, przychylił drzwi za sobą i żywo zabrał się do dojenia Kwiatuli. Udoił wyżej połowy kapelusza i skoczył ku kobyle. Koło żłobu stała putnia, w której było z pół kapelusza wody. Szymek wlał mleko do putni, zamieszał i podał kobyle. W ćwierć pacierza kobyla wypiła słodki napój i wyczyściła dno łakomym ozorem, tak, że chyba nigdy dotąd tak czyste nie było. Zaczem Szymek już na głos rozwarł drzwi stajenne, dodał kobyle koniczyny, przyniósł wody ze studni, a wreszcie, spojrzawszy na gwiazdziste niebo, puścił się pachnącemi polami w dół wsi.

#### IV.

Słońko myślało już na dobre wyjść, zawołać naród do roboty, ale ta markociło trochę i nie ukazując się obliczem, po czarnych szczytach dalekich Tatr płomieniło się coraz prze-

stronniej. O niejaki czas zajrzało przecież i na pyzowiańskie działki. I śmiechu wartało, kiedy najpierw rozłożyło się wielgaśnem plosem światła na Wronim Przyłasku, gdzie na zbutwiałym pniaku siedziało dwóch gazdów, a opodał chwiałały się dwie szkapy.

— Oświeca nas, żeby ludzie lepiej widzieli — zachnął się Szymek.

— Nie pleć po próznicy — miarkował go Wojtek. — Nie pleć po próznicy, powtarzam ci. Co będzie, to będzie, mnie się te szkapy widzą. Twoja ma niby ten wól, czy piastkę na szyi — nale to po pyzowiańsku, cóż się martwisz. Moje końsko dygoce, jak chłop przy spowiedzi, ale łeb trzyma górnje. Trza ino opaternie, a djasi wiedzą, co jeszcze z nich może być. Ino z wiarą, a będziemy mieli konie, jak tuzy.

— Będiesz miał — mędrkował Szymek. — Naród ci da mieć. Taka ta gawiedz rozpajeczona, nieużyczliwa, zła, że ino sifkartę wziąć i w Hamarykę jechać.

Spostrzegł się Wojtek, że pocieszanie tu nie pomoże. Spojrzał na Szymka raz i drugi i politował się nad nim niemało — taki był dobity i zgryziony.

— Pewnieś zajrzał wczora do Falfiarzów.

— A poniosło mnie tam lichy jakiesi — westchnął Szymek.

— Tak mi gadaj. Teraz wiem..

— Anim potem oka nie zmrużył. Północ była pewnie, kiedym wrócił. Drzwi od izby były pozapierane, wszystko spało. Poszedłem do stajni, położyłem kości przy końskim żłobie — myślę se, tu moja bieda, tu mój koniec...

Wojtek nie słuchał ostatnich słów Szymka. Odwrócił głowę, przymrużył oczy i wpatrzył się w zieloną przechylinę, na której pośród jesionów, sietniaczych wierzb i posępnych jaworów stały rozsypane gniazdka chałup pyzowiańskich. W srebrzystej rosie, w rzeźwem omgleniu słonecznego rana Pyzówka wydawała się być inną, jak zwykle, jakby nieznaną dotąd i przez to o sto razy miłszą. Ale insza sprawa poruszyła Wojtka. U wylotu wsi, na kępce, z której widok był śleobodny i przestronny, stał człek biały, tak jak wstał z posłania i penetrował świat uparcie. Wojtek trzasnął nagle śmiechem tak głośnym, że aż mu echo oddudniało parę razy. Szymek nic nie pojmował.

— Patrz, patrz na kępę — zaśmiewał się Wojtek. — Widzisz Kubusia?

Szymek wstał z pniaka, przyłożył dłoń do czoła i natężył wzrok. Iście. Myrdaczów Kuba rozkroczył się na kępce, jak sztabowiec i przez lornetę patrzył prosto w oczy Szymkowe, poczem odchylił szkła w stronę koni, a potem znów na Szymka i na Wojtka. Tak parę razy.

— Ten dziad regimiencki, ten pucybut dziadowski, ten mi jeszcze będzie wydziwiał? — złość zatrzęsła Szymkiem. — To ja mu w regimencie nato pomagał, to ja mu nato zataił tę lornetę, kiedy ją skradł. Ja mu pokażę...

I porwał się Szymek iść ku niemu. Ale Wojtek chwycił go wpół i kazał usiąść.

— Siedz — przygniółł go do pniaka. — Przypatrz sie, twoja kobyła już skubie trawsko, a mój kasztanek zwalił sie z nóg i leży, jak kłoda.

W rzeczy samej kobyła chwyciła się paszy nie na żarty. Szymka to tak rozradowało, że w momencie zapomniał, jak wczoraj szła przez wieś, jak nieprzystojnie rozkroczyła się akurat przed Falfiarzowem obejściem, co mu wstydu narobiła we wsi a piekła w domu. Wpatrzył się w nią z takim przejęciem, iż nieświadomie zaczął ruszać zuchwami, tak, jak i ona, skubiąca łąkę.

— Pasie sie — wyszeptał. — Pasie sie! Cóżby to było, aj było, do stu regimentów, żeby sie takim dwom wojeńskim ludziom, tak podziurawionym od kul, jako my, nie miało szczęścić. Gdzieżby ta sprawiedliwość była wtedy? Jakby to ten Pan Bóg miał wszystko dobre pchać na cywilów, a złe ino na nas?

— Cóż ci u Falfiarzów powiedzieli wczoraj? — przerwał mu nagle Wojtek.



— U Falfiarzów? — Oblicze Szymka znów spochmurniało. — Cóż u Falfiarzów?... Ten kręt stary nic, ino mlaskał ozorem. Ni to, ni sio. Mlaskacz krotny. On ta — powiada — niczemu nie prociwny, ale też ta za niczem nie goni. Ród, niby mój, chwalebny i pospolicie uważany. Nale — powiada — w głowie trza mieć nie oskrobiny, ba rozum. Z rozumem przejdiesz niejedną wieś, z oskrobinami nie ukazuj się nawet za próg, bo cię wyśmieją. I znowu mlaskał. Dyćbym ci dał Wiktusię, bo cóżbym ci jej dać nie miał — tak precedzał to mlaskanie, nale... Bóg to tam wie, jako tam jeszcze będzie, niby i z tem i z owem... Chałupy osobnej nie masz — powiada — pieniądz i pono grubszy wpakowałeś w głupotę i wstyd...

— To się ukaże — przerwałem mu.

— Albo i nie ukaże — mędrkował dalej. — Wiktusia może się doczekać nie ino chłopa, ale i honoru, bo tu się gazdostwo we wojnę ozrosło, chyby w obejściu niema żadnej. Żleś zaczął — jał mi przyganiać. — Ja cię tu miał na uwadze, hoho, jak ja cię tu miał... Nale, prze Pana Boga żywego, źleś zaczął. Z tem kobyłskiem przyjdiesz do kłopotu. Przecie tu i ja miałem kobyłsko, twojemu może i podobne — powiada — ale jeszcze jaki taki honor miało. A to twoje — grat i grat. To nicpota. Jeszcze to ma jakiesi wólsko na szyi, bój sie Boga — powiada — gdzieś miał oczy.

— Dyć i wasza kobyła miała — mówię mu, niby Falfiarzowi — jakąś gruszkę na szyi.

— Moja? Mieć miała, ale była młoda, żer-na i robotna. Do reszty — było to przed wojną. Mójś ty, Szymuś — zaczął znowu mlaskać — co było, to było, minęło i nie śmie wrócić. Nie śmie. Wojna nauczyła tych, co chcieli, rozumu tyle, ile chcieli. Widziałeś mojego siwego? Trzeci rok ma, chodzi, jak panna. Niema tu w Pyzówce takiego drugiego, coby mu się przyrównać śmiał.

— Niema — przychwaliłem.

— No widzisz — mlasnął znowu ozorem i spojrzął na mnie rad, że mu tak dogodził. I znów jął się rozpierać na ławie i wychwalać swoje rozумы, które z biedy i lichoty wywiodły go w paru rokach na grubego gazdę. Jął opowiadać, jak to on z babą, Wiktusią i z resztą dzieciśk zaganiali, zabierowali, kupowali i sprzedawali, to ziemniaki, to jajka, to sól, to skórę... I ono sie ta — powiada — nazazbierowało conieco, tak, że i gruntu sie dokupiło i koń udatny jest i jakosi to ta Pan Jezus pomaluśku błogosławi... A ty co? — powiada. — Cóż ty? Kości masz pogruchotane, cielsko podziurawione, do gazdówki brać sie rzetelnie nie masz głowy...

Porwałem się z ławy i wybiegłem z izby. W sieni natrafiłem na Wiktusię. Myślę, dyć stary Falfiarz to jeszcze nie sama Wiktusia.

To święte, co ona powie. Gadam jej — Wiktuś, tak a tak. Jużes mi przyobiecała, dotrzy-maj teraz. Budulec zwieziony, deski przy cha-łupie, plac mam wydzielony. Do jesieni domu stanie pod dachem. A ona mi na to, że niby tak musi być, jako tatuś ugwarzą i postano-wią. Kiedy Wiktusia tak mi onaczy, otwierają się drzwi i wchodzi do sieni Falfiarz.

— Co to tu za pogwarki po sieniach? — zaczął krzyczeć. — Co to tu?

Wiktusia wsunęła się do izby, ja zaś po-gnałem w noc. Wodziło mnie długo po po-lach...

— Hm — kiwał głową Wojtek — to ci Fal-fiarze dogodzili...

— Żeby im jeszcze ja nie dogodził — po-groził Szymek pięścią w stronę Falfiarzowego obejścia.

Słońko już było wysoko. Baby powycho-dziły w pola plewić i okopywać, chłopci zaś, jako chłopci zwyczajnie, majstrowali coś koło chałup, dużo hałasu czyniąc, sporo klnąc, a w rzeczy samej pracowicie daremnikując. Upalny dzień się zapowiadał, toż to i owad wszelki wczesnie wyległ dokuczać. Szymko-wa kobyła, jak mogła, oganiała się przed na-pastliwością bąków i szczególnie upartych ślepców, Wojtków zaś kasztan, nie mogąc zdzierzeć ich dokuczliwości, zaczął niespo-kojnie dreptać po przylesiu.

Gazdowie postanowili wracać do domu. Ledwie podeszli ku koniom, naród, gdzie ino stał, przy chałupach czy w polu, dźwigał się od roboty i ciekawie śledził każdy ich ruch. Lecz konięta ruszyły z miejsca przykładnie i szły ku wsi jako tako. Kobyła nie rozkroczyła się ani razu, kasztan zaś nawet łeb podniósł honornie i to parę razy.

— Ino pomału, ino cicho — powtarzał wkółko Wojtek. — Niech ta gadają i wydziwiają, co chcą. Ino pomału...

## V.

Jako się trzymali razem przy wojsku, niby Wojtek i Szymek, tak też już i teraz im wypadło. Może ta nietyle z musu, co z przyjaznego nawyku. Lem świt przywstawali, konie — słychana rzecz! — myli, czyścili, chuchali na nie, jakby na dzieciątka, na Przylesie rano i wieczorem wyprowadzali, a pocichu plaćka im podawali i poili mlekiem. Stara Kondziarowa okadziła święconem zieleń stajnię i potrzykroć zażegnywała czary, jakie padły na Kwiatulę od czasu, jak pod dach wlaźło to kobyłsko. Nic nie pomogło. Rankiem jeszcze — jeszcze conieco wydoiła, ale wieczorem wymię bywało przeważnie próżne. Szymek słuchał spokojnie narzekania i jajań matki i z niezmierną troskliwością dbał ino o kobyłę. Pod

czwarty tydzień koniska podniosły lby, a nawet raz, kiedy na pastwisku kasztan wierzgnął trochę, kobyła zarżała.

Młodzi gazdowie uśmieiali się wtedy do łez. Jedno ich jeszcze gryzło — to zaprząg. Co będzie — dumali — jak te końska albo razem, albo osobno zaprzęgna i w biały dzień będą chcieli przejechać przez wieś. Czy zaś nie wystawią się na nowe i ostateczne pośmiewisko?

Jednej niedzieli Wojtek poszedł do Pieniążkovic, nie gadając nic o tem ani Jagniesi, ani Szymkowi. O nieszpornej godzinie wrócił z leciwym, niepozornym, ale hyrnym widać gazdą, bo cała Pyzówka szuściła i kiwała głowami, kiedy Wojtek szedł z nim przez wieś.

— Oho! Ono nie będzie nic inszego, ino inwalidy sprzedają swoich inwalidów — przeleciało po wsi.

Zdziwił się i Szymek niemało, kiedy zawołany szedł do Skupniów i zastał Jagniesię, Wojtka i znanego sobie więcej ze słyny, niż z osobitności — Tadeusza, za stołem, przy białym chlebie i gorzałce.

— Witajcie! — skłonił się Tadeuszowi.

— Witaj-że, witaj! Na zdrowie! — Tadeusz golnął kieliszek wódki tak gładziutko, że odrazu poznać było światowca.

Szymek usiadł przy stole, o nic, jak przystało, nie pytając, wychylił swój kieliszek i spojrzał na Wojtka.

— Chrzestny ojciec — objaśniał Wojtek — tyle dobrzy, że przyszli obejrzeć te nasze zgryzoty. Myślę se, niema tu w obrębie nikogo, coby tak prawdę mógł wyznać, jak oni, no i poszedłem ich pięknie prosić... Pijcie, Tadeuszu.

Tadeusz nie dał się prosić ani nukać. Gorzałka nie była mu cudna, znał się na niej tak, jak i na koniach. Od maleńkości cieszyły go dwie rzeczy — wędrówki za końmi i litkupy. Na konie chadzał do Starego Miasta, do Bochni, na wszystkie głośniejsze jarmarki, handlował niemi z całym okolicznym światem, a nawet z węgierskimi panami. Niezwykłe imię jego słynne było w całym kupieckim świecie końskim. Zdanie jego o koniach było święte, miał bowiem — jak gwara niosła — jakieś tajemne ich znawstwo. Jak Tadeusz powiedział o koniu, że dobry, amen. Ale jak nieco napity pokręcił głową, uśmiechnął się nieznacznie, a jeszcze właściciela poklepał po kłabuku — wszystko przepadło. Żeby tam nie wiem co, w koniu musiała być jakaś chyba. I była, czy nie była, gazdowie tańcowali po jarmarkach dotąd, póki się takich wered, choćby i ze stratą, nie pozbyli.

— Chłopcy moi — mówił Tadeusz do Wojtka i Szymka — nic sie nie bałamućcie. Ja kupuję i sprzedaję wszystko. Djabliby to byli, aj byli, żebym ja w Pyzówce nie zrobił

drugiego interesu. Pokaże się, że końska płone — ja wam je puszczę. Pokaże się, że dobre — chowajcie. Za mojego kupiectwa sprzedałem do tej wsi waszej zatraconej ino raz i tylko jedno kobyłsko — a było to na jaki rok przed wojną. Alem tu jeszcze nigdy nic nie kupił. To kobyłsko kupiłem w Starem Mieście. Niedrogie to było, myślę se, zostanie to u mnie, będzie ta Jędrus, niby syn mój, podjeżdżał, bo to spokojne i robotne. Przywiódł ja to do chałupy, tak, jak na niedzielę, a o tydzień musiałem z tem gnać na jarmark do Nowego Targu.

— Ej?

— Dyćby mnie ta kobyła wyjadła ze wszystkiego. Cuda Boskie. Dyć ta krowa, bo to poprostu powiedzieć — krowa, żadnego honoru końskiego, żadnego umiaru nie miała. Stała przy drzewie, już darła korę lub obgryzała gałęzie, chwytala się najpodlejszego trawska, złów zgryzła do połowy, a wreszcie zabrala się do dyli i do ściany. Powoli — rzekę — zje chałupę... A jak się przystawiła do wody, niesposób jej było z miejsca ruszyć. Kadź i kadź przepaścista... I dopiero — wiecie — trzeba było Pyzowiana, żeby ją odkupił. Powiadam wam, że to było pierwsze w mojem życiu końsko, com do Pyzówki sprzedał, bo zwyczajnie to ta moje konie szły na Odrowąż, Witów, Chochołów, Ludźmierz,

bo tam naród ma uciechę w koniach, a ja wiem, w jakich. Juści nie w takich, jak ta kobyła...

— Któżby to tu był w Pyszówce, co ją kupił? — zagadnął Szymek.

Tadeusz przymarszczył brwi, oczy wbił w powałę, szukał w pamięci.

— Średni gazda był, oczami gonił, jak postrachany, tyrtolił strasznie dużo, a o piątkę, coby mu opuścić, po rękach chciał całować... Ja mu tam i opuścił conieco, ale ten dziadyga nawet potem litkupu nie postawił.

— Falfiarz! — uderzył pięścią w stół Wojtek.

Jagniesia zaśmiała się tak, że ją aż przeięło.

— Falfiarz, hej — powtórzył Tadeusz. — On Falfiarz będzie, bo i u nas są Falfiarze i tacy sami.

Tadeusz wypił kieliszek, który mu Jagniesia naląła, zerwał się od stołu i spojrział przez okienko na słońce.

— Chłopcy, słońko ucieka, na mnie czas. Pokazujcie te konie.

Szymek skoczył co żywo po kobyłę. Wojtek zaś, idąc z Jagniesią ku stajni, pokazywał Tadeuszowi swoje nieduże obejście.

— Przycisznie tu macie i grzecznie — dochwalał Tadeusz. — Widać gaździnę obrotną i gazdę rzetelnego. Dawnoście z wojen wrócili?



— Rok na Pietra-Pawła...

— Rok — podumał Tadeusz. — Hm. Dziecko jakie macie, bo nie widzę?

Jagniesia ściągnęła szybko chustkę z głowy na oczy.

— Niedawno po ślubie, to ta jeszcze czas — śmiał się Wojtek.

— Chłopie, nie próżnuj. Choćes podziurawiony i na kości narzekasz, nie próżnuj. Bez dziecisk nic nie ugazdujesz. O robotnika trudno...

Wojtek zostawił Tadeusza z Jagniesią na obejściu i skoczył do stajni po kasztana.

— Dzieci są — onaczył dalej Tadeusz zawstydzonej Jagniesi — moiściewy, dzieci są zachętą. Czy to konia kupujesz, czy cielę sprzedajesz, czy jajka albo masło niesiesz do miasta — już se myślisz: to kupię dla Bartka, to dla Hanusi, to dla Jędrusia, to dla Wiktusi, to Maciusiowi, tamto Haźbietce... I tak se ta pieciesz i przeplatasz i uśmiechasz się do tej radości radościwej i znowu umyślisz, żeby się jeszcze przydał Kubuś i Marysia, Wincuś i Kondzia...

Tę plećpleciugę Tadeuszową przerwał Wojtek, prowadzący konia ze stajni. Tadeusz zamilkł. Zdało się, że go nagle coś odmieniło. Zmrużył prawe oko, zmierzył kasztana od stóp do głów, obszedł go raz i drugi dokoła, zajrzał mu w zęby, poklepał po łopatce, obej-

rzał jedno i drugie kopyto, popróbował kolan, zairzał mu w oczy — i po chwili, kiedy już stał z boku, obejmując spojrzeniem całą postać kasztana, kazał Wojtkowi przeprowadzić go najpierw wolno, a potem kłusem. Poczem obejrzał go równie dokładnie jeszcze raz i kazał otworzyć wrotka od obejścia ku łące. Wreszcie, nic nie pytając, starzec jednym skokiem dosiadł kasztana, podrażnił go piętami i popuszczając uzdy, najpierw kłusem, a wkońcu galopem harcował po łące tam i zpowrotem.

W Wojtku zamierało serce z niepokoju, żeby się szkapie co złego nie przydarzyło. Ale koń uganiał wcale do rzeczy, a gdy wpadł z jeźdźcem na obejście, na dany znak stanął w miejscu, jak stary wojownik i zarżał.

Tadeusz zeskoczył zgrabnie i oddał konia Wojtkowi.

— Nogi conieco naderwane — zaczął uroczystym głosem — ale, Wojtuś, tyle ci ino powiem: szanuj swojego kasztanka. Niestare to jeszcze, układ pański, oko żywe, jędrne, do ludzi, ino to zgłodzone, sponiewierane i zziąbłe, jako i ludzie, co wojowali... Ale — podniósł głos — to dukat w Pyzówce.

Kasztan poderwał się z miejsca.

— Dukat — powiadacie? — rozradował się Wojtek.

— Dukat!

Kasztan uniósł się w tej chwili na tylne nogi i załamując pysznie foremny kark jał krążyć wokół gazdów.

Koń zarżał wesoło i skierował się wprost na Wojtka. Młody gazda skoczył do izby i wyniósł placek. Wołając upojnym głosem „Dukat! Dukat!“ szedł przed kasztanem, który opadł wreszcie i smakowicie zabrał się do placka. Wojtek objął jego kark, przytulił się do łba i rozplakał rzewnie.

— Dukat, Dukat — powtarzał przez łzy. — Dyć my starzy towarzysia — objaśniał Jagniesi i Tadeuszowi. — W jednym regimencieśmy byli i u jednego kapitana służyliśmy razem... Że ja go też nie poznał odrazu... A ma już ten zwyczaj oddawna: zawołać na niego „Dukat!“, to zaraz staje na zadnie nogi i tańczy, o chleb, o cukier tak się dopraszając... Że też ani mnie, ani Szymkowi na myśl nie przyszło...

I znów go obejmował, znów głaskał i klepał po szyi, wychwalając przed żoną i Tadeuszem jego rozumy wojenne i wytrzymałość na biedę.

Tymczasem przywiódł i Szymek swoją kobyłę. Poruszony do głębi historją Dukata, nie śmiał ani marzyć, aby jej przeszłość była tak bliską mu i cudowną. Na Tadeusza, który zaczął kobyłę oglądać, pozieirał chyłkiem, jak na guślarza. A Tadeusz badał szkapę dłużej

i dokładniej jeszcze, niż kasztana. Wreszcie, odstąpiwszy parę kroków od niej, spojrzawszy na Szymka uroczyście, poklepał go po kłabuku i roześmiał się na głos.

— Kobyła murowana — orzekł. — Ale przyżeń się rychło do jakiej hrubej gaździny, bo sam nie dasz jej rady. Nie martw się nic. Ona może zjeść całą Pyzówkę, ale i całą Pyzówkę obsłużyć. Końsko mocne i zdrowe, ino... ino przepaściste okrutnie. Żeń się, a wartko.

Szymek nie wiedział, czy się cieszyć, czy martwić. Tadeusz zaś, śmiechy i figle strojąc, przychwalał mu jak mógł, ale na Jagniesię znacząco spozierał i coś jej tam do ucha podszeptował. Wkońcu zaczął się żegnać.

— A zaprzęgaliście je? — zapytał jeszcze.

I Wojtek i Szymek wzruszyli ramionami. Zaprzęgać zaprzęgali, jeździć jeździli niemi conieco, ale ta ino tak, o zmroku albo lem świt, chyłkiem, bo naród strasznie dokuczał ozorami. Chcieli je podpaść, żeby do zbiórekabrały jakiej takiej siły.

— Możebyśmy was odwieźli — wyczuł intencję Tadeusza Wojtek.

— Bardzobyście mi wygodzili, a i końskom się przyda.

W dwa pacierze wóz był gotowy, słomiane siedziska sporządzone i konie zaprzężone. Tadeusz sprosił ku sobie Jagniesię i roz-

parł się z nią na siedzisku głównem, Szymek zaś z Wojtkiem usiedli na przedzie. Przeżegnawszy konie, Wojtek strzelił z bicia i ruszyli. Konie szły nieźle. Po czasie kobyła tak się rozruszała, że kasztan nie mógł się zrównać z jej szerokim, krowim krokiem. Ciągnął wprawdzie i on, do roboty był widać chętny, ale miał swój honorny układ, z kobyliłm niezgodny.

— Jak to widać zaraz, który, jaki i z kim i jako się zadawał — objaśniał Tadeusz Jagniesię. — Wojtków koń drobi nóżkami, kark załamuje, paraduje, ale i ciągnie — delikatnie, ale ciągnie. On widać więcej dotąd nosił, niżli ciągnął. Ale na wojnie był, to mu ta nic nie dziwne, do wszystkiego się zaprawi. To zaś naręcznie bydlę niewstydnę będzie niedługo brzuchate od wody, trawska, od łakomstwa samego. Przy robocie nie pójdzie nigdy za swoim rozumem, ba za lejcem i batem — a jak kiedy puści się na swój rozum, to narobi biedy a biedy.

Szymek radby był słyszeć, co Tadeusz tak onaczy Jagniesi, nachylał się ku nim i z tej i z tej strony, ale nieporada było słowa chwycić, tak wóz bił o kamienie i hałasił. Szkapy zrównały się wreszcie jako tako i szły przez wieś klusem, co wywołało w Pyszówce istny zamęt — gdy nagle kobyła skrzyła na prawo w bok, porwała za sobą kasztana i wjechała

z okrutnym rumorem do połowy obejścia Falfiarzowego. Jak to zwyczajnie przy niedzieli, gromadka Falfiarzów wygrzewała się na słońcu przed izbą. Nagły hałas na obejściu poderwał ją z ławki. Cóż to znowu za komedje? — mamrotał Falfiarz, zbliżając się na czele rodziny do wozu. Na Szymka uderzyły wszystkie złe poty. Zeskoczył z wozu wraz z Wojtkiem i obaj zaczęli tarmosić i spychać kobyłę ku drodze, lecz nadaremno. Kobyła zaryła się poprostu w ziemię i niesposób jej było ruszyć z miejsca. Szymek wyrwał z rąk Wojtka bat i klnąc w niebogłosy, jął wywijać nim i grozić szkapie, lecz ona nawet nie drgnęła. W uniesieniu obejrzał się po oborze, szukając kulika jakiego na postrach, bo bić nie miał śmiałości ani serca — i spotkał się z latającymi oczkami Falfiarza.

— Falfiarz to? — zawołał w tej chwili Tadeusz, zeskakując z wozu.

— Dyć Falfiarz — odrzekł spokojnie gazda, wyjmując fajkę z ust.

— Pochwalony Jezus Chrystus — skłonił się Tadeusz.

— Na wieki wieków.

— Poznajecie mnie?

— Cosi niby tak, jakbym miał znać — opatnie wycedził Falfiarz.

— Kupczyliśmy ze sobą...

— Może i to być...

— Tadeusza z Pieniążkowic baczycie?

— Ba! — wyciągnął rękę Falfiarz -- witajcie! Coście tam nasłuchali? Ale po prawdzie, tośmy wtedy płono pokupczyli, bo mi kobyłę zabrali do wojska.

— Zabrać zabrali, ale ona, niewstydna, wróciła znowu.

Falfiarz spojrział na Tadeusza, na Szymka, na kobyłę i prędko włożył fajkę do ust, żeby już nic nie gadać. Ale Tadeusz onaczył dalej:

— Dyć sie jej ino przypatrzcie... Przybiedła trochę, postarzała, ale pamięć ma... A strzałka na pysku, a ten brzuch, jak kadź, a te rozstawne nogi — nie ta sama?

— Dyć przecie takiego wola nie miała — syknął Falfiarz.

— Wtedy jej dopiero zaczął narastać, a dziś już urósł.

Szymkowi przybaczyło się, jak rozkroczyła się przed tem samem obejściem, kiedy ją wiódł z Nowego Targu. Przyjrzał się jej jeszcze raz, dokładnie, szukając we wspomnieniu tamtej, Falfiarzowej. Nie pamiętał jednak wyraźnie jej wyglądu. Podoba była duża, wól w tem samem miejscu... Falfiarz mlaskał językiem, popluwał, ćmiąc gęsto fajkę, badał kobyłę z tej i z tej strony, wreszcie — nie wypowiadając się, ani tak ani siak, zwrócił się najpierw do Jagniesi i Tadeusza, żeby weszli pod dach...

— Mnie czas w drogę — wzbraniał się Tadeusz.

— Nale przecie, skoroście już tu, wejdźcież — honornie prosił Falfiarz. — Wojuś, Szymek, wejdźcież...

Szymkowi zrobiło się niewyraźnie. Wik-tusia stała w otwartem oknie, jak obraz w ramkach i niewiada, śmiała się z niego, wabiła go, czy też ino cudowała się zdarzeniu. I już miał się na nowo zebrać do spychania kobyły ku drodze, gdy akuratnie Falfiarz objął go ręką wpół i mlaskając, jał mu dobrotliwie, jak równy równemu, wypominać, że to już het! zabaczył, gdzie Falfiarze siadują, że wi-dać — jak się kobyła ruszyła do życia, to Szymkowi insze myśli zaczęły chodzić po głowie...

Jagniesia chyżo spostrzegła, na co się zanosi i zeskoczywszy z wozu, migiem pognała miedzami, na krótszą drogę, ku swemu obejściu, wpadła do izby i porwała napitek, przy-skarbiony na robotnika, i zawróciła z nim w te loty.

Gdy weszła do Falfiarzów, wszyscy siedzieli już na ławkach koło stołu i wzdłuż okien i głośno gwarzyli.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki — odpowiedzieli.

I zapanowała tępa cisza. Nikt nie umiał podjąć gwary na nowo.



— Już to widać — przerwała ciszę Jagniesia — dawno tak Pan Bóg chciał, coby my tu w tę niedzielę letnią tak zajechali...

— Hej, hej — przykiwnęli niewyraźnie starzy Falfiarzowie.

— Lutoby nam było odjeżdżać z próżnymi rękami — prawiała Jagniesia dalej.

Zmiarkował i Tadeusz, że trzeba ze dwa słowa dorzucić.

— Ani luto, ani nie luto, bo nie odjedziemy wcale — zawołał na cały głos. — Szymek, z babami i końmi nie inwaliduj. Bierz i oraj niemi, alboś dziad.

— Dyć tu kobyła już drugi raz stanęła — parsknął śmiechem Wojtek, a za nim cała izba.

— Do trzeciego razu sztuka! — ktoś dorzucił.

Tymczasem Jagniesia postawiła już napitek na środku stołu.

Zerwała się i Falfiarzowa i położyła obok flaszki placek i masło. Wtedy Falfiarz podszedł do stołu, nalał kieliszek, podniósł go w górę, powitał nim jeszcze raz wszystkich i przypił do Jagniesi, ale Jagniesia powiedziała, że nie poto tu przysła. Zaczem Falfiarz przypił do Szymka, a Szymek wstał, ucałował ręce obojga starych Falfiarzów i przypił do Wiktusi. Wiktusia zaśmiała się przyjaźnie a wstydliwie i oddała napitek matce.

Wśród nukań, zapraszań i popijania zahuczała stara izba Falfiarzów głośną gwarą o wydarzeniach, któremi chyba sam Pan Bóg kieruje. Powoli napłynęło do izby sporo kumoszek, kumotrów, sąsiadów dalszych i bliższych.

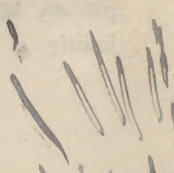
O niedługi czas zadudniała i muzyka za oknami, gdzie młódź rówieśna Wiktusi albo Szymka już się do tańca brała. Jęło się prężyć i mocować młode, radosne życie. Stary basista przymrużył oko i szeroko a szumnie wodził smyczek po strunach, dwaj zaś młodzi skrzypkowie, wsparci na kulach, w ogień przemienili nutę.

. . . . .

Przeszła po Pyzówce niepokojąca słyha, że Tadeusz ma inkluzę. Niesamowite szkapy Wojtka i Szymka przestały budzić śmiech i drwinę; zaczęła się snuć koło nich tajemnicza opowieść wojenna...

Hel, 1921.

---



## ECHO.

Dziadek Marcin był markotny. Familja pospochodziła do kościoła na nieszpory, od sąsiadów nikt ku niemu nie zajrzał, toż to kotwiło mu się i cniło okrutnie. Aleby ta był przetrzymał i tę biedę lekko, nieciężko, gdyby miał co do fajki włożyć. Gryzł cybuch, wysysał go, aż w nim warczało, pluł wokół siebie, co niemiara, a złości brały go coraz większe. Przeszukał już wszystkie miechurki i kieszenie, półki, schowanka w skrzyni — wszędzie, jak wymiecione. Ani listeczka tabaku.

— Djasi nadali, aj nadali, z taką robotą — stękał, łażąc po izbie. — Co też to za czasy nastaly, co za czasy!... Żeby gazda nie miał co zakurzyć... Słychane rzeczy!... Cuda boskie!... Żeby listeczka tabaku... Prze Pana Boga żywego...

I jęczał i chodził po izbie, a znowu pozie-rał po półkach i po kątach, czy przypadkiem nie trafi okiem gdzie na jaką zapomnianą może garstkę tytoniu, ale daremnie. Choćby i była gdzie, to, kiedy ci najbardziej potrzebna, cosi

ją przysiednie, zaćmi cie i szukaj ta wiatru w polu.

— Raty, przeraty...

Już i krzypota jęła dusić dziadka, już i kościska jęły mu ciężyc i dokuczać. A i świat brzydł mu gwałtem i drażnił go. Raniutko, lem świt, dał Kantusiowi od Byrki, co do Dunajca po pocztę chadza, aż dziesięć jajek na tabak, a ten gonitwa nie wraca i nie wraca. Niedość, że trza było cały tydzień kurom zazierać pod ogony, chować te jajka w sásieku, w owsie i pilnować, żeby, broń Boże, synowa nie dojrzała, to ci jeszcze taki Byrka przepadnie jak kamień w studni. Dziadek wyjrzał przez okienko na drogę. Ani słyhu dychu o Byrce. W insze niedziele zaraz po sumie rozdawał chłopstwu listy i gazety i przychodził ku dziadkowi Marcinowi, czy miał z czem, czy nie. Dziadek zaczął już i kłać trochę.

— Kantuś od Byrki też ledaco i jakie ledaco! -- dumał. — Żeby nie przyjść, jak się patrzy, nie przynieść tabaku, nie rozpowiedzieć, od kogo ta i do kogo listy albo dolary przyszły, co ta zaś gazety popisały... Krętek zatracony...

Nie mogąc sobie dać rady w izbie, wyszedł dziadek Marcin przed izbę i rozłożył się na trawniku, twarzą do słońka.

Jał dumać. Ale bez fajki nie nadumasz wiele. Toż to obrócił się zaś plecami do słoń-

ka, sparł głowę na rękach i spojrzał w ogródek, który przed pięćdziesięciu zgórą laty, przed samym ożenkiem, sam założył i wysadził jasionami, jaworkami, którąś tam gruszką sietniaczą i jabłonką dziką... I podrosło to i rozrosło się dzielnie. Czerwone, dzikie jabłka śmiały się doń z pośród zielonej gęstwi liści. Spojrzała nań i gruszka poniektóra. Łapiaste liście jaworowe słaniały się cichutko pod lekkim wiewem rozgrzanego wiatru. Niedziela i niedziela — pomyślał dziadek. — Bo i kogut i kury, co się do ogródka zakradły, tak jakoś po niedzielnemu, leniwie plątały się od płotu do płotu, niby czegoś szukając, a w rzeczy daremnikując w słońku i w cieniu, naprzemiany. Poprzez słoneczną ciszę doleciał i huk organów z kościoła i rozgwar psalmów...

— Niedziela — powtórzył se jeszcze raz dziadek. — Niedziela i niedziela... A Kantusia nie widać... I próbował dziadek myśleć i o tem i o tamtem, ale nieporada. Myśli urywały się i rozłaziły, a ręce nic, ino fajkę podawały jedna drugiej, jedna drugiej, bez końca.

Nareszcie zadudniały kroki za obejściem i zjawił się Kantuś.

— Prze Pana Boga, czy cie tam zaharesztowali, czy co. Dyć się już nieszpory kończą, a ciebie nie widać i nie widać...

— Ale, bo nie wiecie, dziadku, co się stało — zaczął Kantuś tajemniczo.

— Daj tabak!

— Stasicek się obwiesił...

— Tabak mi daj! — wyciągnął dziadek rękę.

Kantuś wyjął tabak z kieszeni i podał dziadkowi.

— Nakładź-że se i ty do fajki...

Zapanowała zupełna cisza. Dziadek Marcin nabił tytoniu na dłoń, popluł, ugniótł i nałożył do fajki. To samo zrobił Kantuś. Poczem zasłonili się od wiaterku, co zlekka podmuchiwał i zakurzyli.

— Siadaj tu, na słońku — gościł dziadek Kantusia. — Któryż to ten Stasicek?

— No ten, z pod Krzyża, co wczora wrócił z wojny...

— Nie znam ta już tych młodszych, ale to będzie chyba Stasickowego Kuby syn...

— Piąty, Jędrek — objaśnił Kantuś.

— Jędrek?

— Jędrek.

Dziadek Marcin wyjął fajkę z zębów, podniósł pokrywkę i zajrzał do środka. Za twar- do se nałożył. Poruszył tedy roztlony tabak patyczkiem, przygniótł zlekka dużym palcem i nanowo jął kurzyć. Puścił kilka wielkich kłę- bów dymu, ułożył się wygodniej i odchrząknął z zadowoleniem.

— Chłop bez tabaku, bez fajki, baba bez ozora — gadał raczej do siebie. — Pociągniesz parę dymów, już ci ulży, tak jak i babie, kiedy się wymiele. Bez baby, choćbyś i wieczyście młody był, wytrzymasz, a bez fajki godziny nie zdierżysz. Po prawdzie, to i baba bez gadania nie zdierży godziny... A cóż temu Stasickowemu tak dopiekło? — zwrócił się dziadek do Kantusia.

— Różnie gadają. Ale to iste, że on sie miał ku Jadwisi od Płazów. Jak ino przyszedł, już tam był, namowiny chciał robić. Z wojny ordery przyniósł, chłop dorodny, ona też, jak się patrzy, oboje majątnicy — chciał sie żenić. I ona jemu obiecała, jak szedł na polskie wojny, dwa roki temu, że bedzie go czekała i za niego wyjdzie. I płakała i wydziwiała, kiedy odchodził, a wczora mu powiedziała, że jej za niego nie pilno, że nie musi, że jeszcze ma dość czasu na niewolę... Do reszty musieli mu ludzie nagadać, że sie z innym wojakiem zmówiła, bo okrutnie go nosiło całą noc, a dziś, w samą sumę obwiesił sie w stodole...

Dziadek Marcin zsunął kapelusz na oczy i jał napychać drugą fajkę. Ręce mu się trzęsły, tabak rozsypywał po trawniku, mrucał coś i stękał, zabierał się coś mówić, ale słowa grzęzły mu w gardle.

— Głuptak! — wykrztusił wreszcie. — Głuptak — powtórzył o chwilę dobitniej. —

Ale Stasickowie zawdy tacy naremni. Zawdy! Prze Pana Boga — cóżby to było, aj było, żeby mi jedna baba miała zagrodzić cały świat! Cały świat! Jedna baba! Niedoczekanie! — pogroził dziadek pięścią ku drugiej stronie wsi.

Poczem dźwignął się rażno z trawnika, wstał, rozprościł kości i pozwał Kantusia do ogródka, dalej od drogi i chałupy. Kiedy stanęli przy płocie, za którym złościły się dojrzałe zboża, dziadek Marcin obejrzał się dookoła, by się upewnić, czy kto nie może go podsłuchać. Potem spojrział na Kantusia i poklepał go po kłabuku.

— Już ta pewnie i ty o dziewczętach zamysłujesz, i nie dziwota, ale ci ino jedno powiem: Stasicek głuptak. — Miał ja tu też taką podrywkę — zaczął dziadek po chwili i spojrział znów w Kantusiowe oczy. — I nikto tu tak iście nic o tem nie wie i cobyś zaś nie rozpowiedział...

— Panie broń — uderzył się Kantuś pięścią w pierś.

— Było nas tu paru za młodości, co my ta jeszcze zazierali na Orawę, to na Luptów... Nie szło sie ta niby tak, jako drzewiej — łąwą i gromadą, ale zawsze było nas paru takich, co my se i śmiało poczynali. Goniło nas i wojsko, zostawialiśmy i ogień za sobą. Chadzaliśmy zbójnicką chódzą. Twoja babka,



Kantuś, miała wtedy osiemnaście roków, była rozrosła, jak jedla, dorodna co cud, a była rozkosznica, paradnica, i tanecznica nad wszystkie. Ja się miał ku niej. Zmysła mnie odchodziły, tak mnie wodziło za nią. A robiło się ciasno i coraz ciasniej. Świat się odmieniał, chodniki zbójnickie zarastały. Powiadam ją do niej raz: Hanuś, dość. Ożenię się z tobą, będziemy gazdować. A było czem i na czem. Ale ona mi wywiedła, że jej gazdówka nie-cudna, do gazdówki i do żeńby ma dość chłopów. Poszedłem jeszcze raz na Luptów. Przyniosłem jej gorsecik złożony, płótna delikatne, czerwone trzewiki i różne różności i pół kłabuka srebrnych talarów. Ciskam jej to i mówię: koniec.

— No to i z nami koniec — powiada ona. Ziąb mnie przeszedł.

— Dyceś z nikim tak, jak ze mną, dyć wiem, żeś dotąd ino ze mną miłowanie miała.

— Dyć też nikt tak, jako ty, śmiało nie chadzał, na nikogo nie trza było czekać w udręczeniu, tak, jak na ciebie...

Zaciałem się. Nie chodziłem już ani na Luptów, ani na Orawę. Gazdowałem i chodziłem po muzykach i po weselach, a dziewczki ciskały się na mnie, jak snopki na wóz. Jej to nie obchodziło. Pobili się raz w karczmie nasi parobcy z mieszczanami, w jarmark.

Wpadłem pomiędzy nich ! wyrzuciłem ich z pięciu za okno. Hanusia była tam i patrzyła na mnie, jak w łunę... Myślę se, ostatni raz jej powiem. I powiadam.

— Gazdować mogę z każdym — odrzekła.

— Dyc przecie pali sie we mnie...

— A we mnie nie?! — powiada. — Tak choć wiem, że cie jeszcze poniesie stronami, że cie tam myślami będę goniła, że potem zajrzysz i znowu pójdiesz... A na gazdowstwie zdiadziejesz, jako i inni.

Zadygotała ziem pode mną. Nie — to nie. I poszedłem jeszcze parę razy staremi chodniczkami i za każdym razem odkazywała i czekała na mnie. Daremnie.

Ona wyszła za Florka Byrke, ja sie ożenił. Jak ta jej było, nie wiem. Raz jeszcze przyszła družbów po mnie, kiedy pierwszą córkę, Krzystkę, wydawała. Ale ja tam był niepotrzebny. Nie poszedłem. I tak se ta teraz rachuję, com nabroił na tym świecie prześwietnym i nie duży to ta rachunek. Ale żebym tak młody był, żeby mi tak padło jeszcze raz, jak było, tobym tak samo zrobił, inobym se jeszcze muzykę zawołał, coby mi grała na tę ostatnią drogę od niej.

Tak, mójeś ty, Kantuś. Stasicek głuptak. Naremnym możesz być, ale przecie nie na to, coby nad tobą górowali.

Dziadek Marcin przechylił sobie kłabuk na tył głowy i spojrział bystrym, płonąącym wzrokiem na Kantusia.

— Tak, mójś ty — powtórzył raz jeszcze. — Stasicek głuptak. Jak komedye, to komedye do końca, do ostatniej starości. Ale nie tak, jak Stasicek porobił...

---

## BUNT POD GRAPĄ.

### I.

Po prawdzie rzec, jak się naród babski uweźnie, jak postanowi co na święte, to amen. Choćbyś nie wiem jak kręcił i wykręcał, nie poradzisz. Jedna baba uparta — kłopot na całą wieś, dwie uparte — kłopot na powiat, ale kie się chwycają za ręce trzy-cztery, a cóż dopiero gromada — to już trzęsienie ziemi w kraju i wojna.

Nie nowina to żadna, że różne zмовы babskie bywały — naród to wie, a i w starych książkach o temby się wyczytało. Ale takiej zмовы, takiego wydarzenia, jak u nas (nie powiem wsi, bo nie chcę mącić), chyba jeszcze nie było.

Po wielkiej wojnie, jesienią 1918 r., zaczęło chłopstwo nasze gromadnie wracać do chałup. Wracało to ocądrane, szmatławe, opuchłe z głodu, sponiewierane docna i złe. Najgorzej było z tymi, co z taljańskiego frontu albo z kraju Francuzów, z pod Werdunu, przepychali się sztuką i siłą do kraju. Na taljań-

skim froncie lenja pękła jednego dnia, strach rzucił się na ludzi, a Taljany wio! zastawiać saki i zgarniać naród w niewolę. Na wyprędki rzuciło się żołnierstwo austriackie ku krajom północnym. Nasze zaś chłopskie ku Polskiej się rwało, zachadzało się do krwi, byle się wyrwać z sieci. Milami a milami tak wędrowało zestraszane i głodne, aż dorwało się gdzie do jakiejś kolei i brało maszyny i wagony siłą. Jechało to potem na schodkach wozów, na dachach, gdzie i jak kto mógł. Tak też jednego dnia przywędrowało do naszej wsi pięciu, drugiego ośmiu, pomału doszło jeszcze z dziesięciu i wkońcu prawie wszyscy wojownicy zeszli się pod strzechami swojemi. Zabrakło paru, o których dotąd niewiada, co z nimi — i paru, którzy nie wrócą już nigdy!

We wsi, jak we wsi. Wojownicy, którzy mogli, pozdzierali z siebie łachy austriackie, ten — ów zostawił sobie jeszcze czapkę i przypiął do niej orzełka, obmyli się pomału, podjedli, przyszli do siebie i zaczęli się brać do gospodarki. Koło chałup, choć zimą na dobre zabieliła wokół, roboty było dość. Niektórzy przez cały czas wojny nie zajrzeli do domu, a choć i zajrzeli, to cóż mogli ugazdować przez krótki zwyczajnie czas urlopu? Same naprawy i uzupełnienia sprzętu gazdowskiego dałyby sporo mitręgi, a gdzież tu dopiero młócka, gdzie las, gdzie rozwózka na-

wozu i to i tamto. Roboty było dość. Ale ta robota jakoś nie szła. Wychodził jeden z drugim przed izbę, obzierał się, przeciągał, zajrzał do stajni, zakurzył fajkę i już wracał pogrzać się. Wyszedł po chwili, zrąbał dwa-trzy patyki, pomedytował nad nimi i znów wodził oczami dokoła siebie. Snuli się ci ludzie koło chałup pochmurni i przygięci, jakby ich co przysiadło. Ożywiali się dopiero, kiedy zeszło się ich z kilku i kiedy zaczęli gwarzyć o sprawach tamtych, wojennych, albo o nowinkach, które i do naszej wsi gęsto nadchodziły. A to o bolszewikach, a to o Polsce i inne. Wtedy dochodziło nieraz i do ostrej zwady. Lecz rozchodzili się znów i jakaś tępa głuchość przyległa wieś naszą zpowrotem.

Tak było do Bożego Narodzenia.

## II.

W czasie świąt, na Szczepana, późną już nocą wrócił do domu Kuba Pęksa, który w r. 1915 w bojach za Gorlicami dostał się do niewoli moskiewskiej. Kuba chłop był żonaty, ale do rzeczy, młody, obrotny i z fantazją. Idąc po latach przez wieś ku swemu obojętnemu, wstąpił po muzykantów. Jak było tak było, w niewoli u Rusa najgorzej mu nie było; twardy w robocie, przemyślny wśród ludzi,

grosza trochę „wszył” za cholewę i umiał wy-  
dostać się z nim do kraju. Chciał żonie zro-  
bić uciechę. Muzykanci ociągali się trochę,  
bąkali coś pod nosem i kręcili, ale kiedy Kuba  
pokazał im tabak i gorzałkę — poszli. Jak  
było nie iść...

Dobrze już z północkska stanęli w czterech  
pod przymarzłemi nieco oknami obszernych  
izb Pęksowych. Serce Kuby zaczęło się  
trzepotać gwałtownie. Haźbietka za temi  
szybami, Haźbietka! Żal mu się zrobiło na-  
gle, że zwołał muzykę. Nie będzie się mógł  
uwitać z nią tak, jak zapragnął tego dopiero  
teraz — inaczej, niż kiedykolwiek dotąd. Ale  
Kuba chłop był krótkiego prawa. Przepadło.

— Zagrajcie. Zagrajcie naską nutę...

I zadudniały basy, śmiało odezwały się  
gęśliki, przywótórzyła grzecznie oktawka.

Hej popod las, popod las,  
popod odrowąski —  
bocys-tez to, Haźbieś,  
kieś pasała gąskil...

Kuba pchnął silnie drzwi. Były mocno za-  
parte. Nie otworzyły się. Nic to. Światelko  
zamigotało za szybami, a za chwilę słychno  
już było wyraźnie, choć muzykanci grali ostro,  
głos Haźbietki: kto tam?

— To ja. Kuba!

Światelko zgasło.

— Kuba? W imie Ojca i Syna — Kuba?

— No Kuba. Otwieraj.

Drobniuskim kroczeniem, boso, skoczyła Hażbietka do sieni ku drzwiom. Otworzyła. Kuba chwycił ją w pól, przygarnął mocno ku sobie.

— Moja bieda, moja mała — mruzczał, tuląc ją w rozłożystych objęciach.

Zięb idący z pola potrząsł nią, to też Kuba uniósł Hażbietkę z ziemi i tak począł iść ku izbie. Muzykanci podeszli na próg sieni. I zadudniało gazdostwo Pęksowe staroświecką, upojną nutą, przy której nieboszczyk Pęksa ojciec tańczył z Hażbietką na weselu syna. Honornie zadumały się szerokie płazy Pęksowego domu. Podniosła się duma osiedziałego rodu gazdowskiego i hyr jego imienia. Zdawało się, jakoby wszyscy Pęksowie, co przez wieki na halach nieprzeliczone stada białych owiec wypasali i wielu stronami gór chadzali po sławne przygody — jakoby wszyscy się tu zwołali, na tę noc, na to powitanie jedyńca-wojownika...

Upojony radością Kuba nosił po ciemnej izbie swą żonę, śmiał się do niej i przytulał ją coraz serdeczniej i serdeczniej. Wreszcie posadził ją na ławie. Muzyka nagle przerwała grę. Koło izby zadudniało tylko.

— Co to? co to, dlaczego? — Kuba wybiegł przed izbę. Lecz muzykanci śmigali przez wieś, co sił.



— Świeć — kazał żonie, wchodząc z powrotem do izby. Haźbietka zaczęła się kręcić niesporo i leniwie koło półki. Gazda zapalił lampkę sam. Ciszę przerwało nagle rozespiane, pokorniotkie, ciche kwilenie. Kuba spojrział ku łóżku. Z kołyski, z tej samej kołyski, w której on się wykołysał na parobczaka, na męża i wojownika — wydostawała się małuśka rączka, jakby prosząca o coś przez sen...

— Haźbieś...

Haźbietka skurczyła się w kącie izby, stała się taka maluśka, jak była wtedy, kie z Kubą w borach pasala. Oczy wpatrzone w Kube — były przerażone i biedne, bezradne i pokorne.

— Zabij, zabij mnie — szeptała, złożywszy ręce jak do modlitwy.

Zdało się Kubie, że go chwyciło coś za gardło, tarmosi nim i dusi. Ogarnął go zamęt — taki sam, jak w ogniu wojennym, kiedy niewiada już gdzie zaryć się przed hukiem, zgiełkiem i wizgotem rozuzdanej śmierci. Twarze ojca i matki, Pęksowe pola dostatnie i urodne, razem uprawiane, okwitłe kwieciem różano-białem jabłunki uśmiechnięte, pastwiska, na których w radosną młodość porastali, gromada wiejska do nich uśmiechnięta, wesele, ślub, długie łańcuchy klnących w spiekocie wojsk idących w nakazaną, nienawistną bezbrzeż — to wszystko jeło się wikłać, plątać,

wyrastać i przepadać w Kubie. Ziemia zaczęła się usuwać w ciemne otchłaniska, dom rozsukał się, by runąć...

— Hażbieś!...

Głos mu się przełamał, jakby ten patyk la-dajaki. Chciał krzykiem wydobyć z niej jakąś inną, zbawienną prawdę, ale nie umiał już, nie miał sił. Zwalił się na ławę, głowę wmiął w dłoń i wpatrzył się w przepastną ciemność bólu.

Rano było już dobre, ludzie zaczęli iść do kościoła, kiedy Kuba dźwignął się z ławy. Hażbietka stała nieporuszona w rogu izby. Podszedł do niej.

— Bier sie. Bier sie zaraz. Nie pokazuj mi się więcej na oczy. Nie chcę cie znać. Idź — szarpnął ją z kąta i pchnął ku kołysce.

Otępiała męką okrutnej nocy Hażbietka bezwolnie prawie przyodziała się wartko, wyjęła z kołyski płaczące dziecko i cicho, jakby zastygła, poszła.

### III.

Na mszy w kościele głowy się chwiały, jak las przy dobrym wicherze — tak się ludziska dziwowali szeptanym wieściom. Jeszcze pewnie nikt we wsi łyżki do gęby tego rana nie podniósł, kiedy cała parafia już wiedziała, że Kuba wrócił i Hażbietkę wygnał.

— To jest chłop! — dochwalali se gazdowie po mszy przed kościołem. — Ten ma krótkie, wojeńskie prawo. Wie, co sie komu patrzy.

— Trzaby w niejednej chałupie taki porządek zrobić.

— O hej! W niejednej. O i pewnie sie zrobi — zaczęli grozić poniektórzy, podobnie, jak Kuba, pokrzywdzeni.

— Trza oporządzić wieś. Dużo roboty nie będzie. Dwie — trzy chałupy... Ale to trza zrobić, bo dziś wietrzą cały świat...

Baby zrobiły zaś swój wiec przy kościele. Stare chwaliły czyn Kuby. Nikt się ta temu nie dziwował, ani ich nikt nie słuchał. Ale młode gaździnki! Te dopiero rozpuściły języki.

— Delikatusia... Zachciało sie jej felfebra...

— Ułana! Biedny Kuba...

— Dochował sie. Do ślubu poprowadził, a po ślubie kto inny poradził...

— Nie zgiełczcie! Chłopy winny wszystkiemu, mogły na wojne nie chodzić, mogły pilnować gazdostw i bab — teraz niech pokutują!

Wszystkie baby zamilkły nagle i obejrzały się, która to z takim wywodem przyszła. Ale spotkawszy się z zawadjackim spojrzeniem wdowy Tereski z pod Grapy, której nikt nigdy

nie dorówna ani głową ani gębą, czekały, co powie dalej.

— To jest sprawa! — tupnęła mocno Tereska. — Głupie gdakule! To jest sprawa — wiecie? A Hażbietka u mnie, cobyście se wiedziały i wara mi od niej...

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Mocne słowa Tereski zrobiły wrażenie.

Po niesporach ten i ów myślał zajrzeć do Kuby, ale nikt nie śmiał. Zebrało się nawet paru gazdów pod samą chałupą Pęksów, ale że Kuba nie wychylił głowy, nie pokazał się ani w oknie ani na obejściu, gromada rozeszła się. Wygnanie Hażbietki było dalej główną i jedyną sprawą całej wsi. W niektórych chałupach gazdowie, zwłaszcza oni niedawno przybyli z frontów wojownicy, zabrali się do porządków na dobre. W ślad za nimi szli inni — mieli o co, czy nie, wszystko jedno — rozprawa miała być walna i ostateczna. W całej wsi rozlegały się piski, krzyki i zawodzenia. Dwie czy trzy baby podobnie, jak Hażbietka, znalazły się poza opłotkami swych obejść, inne skuczały, jak psiny, koło węglów. Noc zapowiadała się jeszcze burzliwiej, bo sporo gazdów i parobczaków zeszło się u Pitwasa, który wyrabiał najmocniejszą w całej okolicy gorzałkę. Zaczęto pić, ale to pić rzetelnie. Na tę sprawiedliwość.

Wygнанne z domów kobieciny zahukane, splakane i pełne wstydu wlokły się pod Grapę, do przysiołka, w którym siadowali głównie wolowaci, sietniacy i insza podobna bieda. W tym to przysiołku siadowała i wdowa Tereska. Ta nie próżnowała. Latała od chałupy do chałupy, jak oparzona, mleła językiem, jak kołowrotek, aż pozbierała wszystkie wygnane żony i umieściła je u siebie, w jednej ciasnej izbeczce, wraz z Haźbietką i dzieckami. Naniosiła słomy, pościeliła, nawarzyła ziemniaków, posoliła je i kazała jeść. Wygnanki dławily się, lecz jadły. Kazała iść spać. Pokładły się. Poczem wyrwała się z chałupy i pognała jak wicher ku Pitwasowi. U Pitwasa chłopcy się rozonaczyły do znaku. Zawziętość na przespanice i nieprzespanice rosła. One wszystkie jednakie — dopowiadali sobie. Kiedy tu honwedy stały — jak było? A z wsiarzami Rusnakami albo z Ciechami nie zadawały się? Bo to była nowizna. He raty, przeraty. Trza się porachować. Dobrze, że to Kuba raz zaczął. Bo kto wie, do czegoby jeszcze mogło dojść w takich czasach. Jak sobie prawa sam nie zrobisz, to go nie znajdziesz. Porządek musi być...

I hrubsi gazdowie i biedź pospolita — wszystko to tak zawojowało się potrzebą robienia porządków, że nic, ani amen w pacie-

rzu nie mogłoby już temu przeszkodzić. Tereska odskoczyła od okienka karczmy i zawróciła pod Grapę.

## IV.

Rano ponowiły się w wielu chałupach zwady i kłótnie, a nawet niebylejakie bitki. Poniejedna z kobiet opuściła sama dom, porwała równie ukrzywdzoną kumoszkę i poszły zaś one do Pitwasa. Na tę najmocniejszą. Powoli zeszło się tam do ośmiu kobiecim, a między niemi zjawiła się też i Tereska.

— Baby! Głupieście. Po rozum do głowy, po widły do ręki. Co to tu za rzędy mają być w tej wsi?

Zwidziała się babom ta mowa.

— A juści. Słusnie Tereska gwarzą...

A Tereska dalej:

— Dyć prawie niema chałupy, w którejby nie było baby obitej i sponiewieranej. Ja chłopca nie mam, ale mi o krzywdę idzie, o obrazę Boską. Co to za sądy nastąpiły? Kto to sądzi? Kogo to sądzą? Co to jest? Czy my się tu nie narobiły dość, nie namęczyły, nie napłakały? Kto utrzymał w tej wielkiej biedzie gazdostwa, kto dzieci odchowwał?

Babom się aż oczy zaszklily od tej rzeźkiej mowy.

— Tak nam płacą za nasze męki? — wołała Tereska w uniesieniu. Przez pięć roków darli buty za naszą pracę, przez pięć roków strzelali za nasze pieniądze... Pięć roków chodzili po krajach taljańskich i moskiewskich — z Taljankami i Moskiewkami sie zadawali — a teraz z otwartymi pyskami idą na nas?!

Babiny chciały ugościć Tereskę, ale Tereska ślubowała. Nie pija.

— My im tu zrobimy porządek. Nie pić więcej, brać się do roboty. W godzinę macie obejść wieś, wszystkie od 16 roku życia kobiety zwołać na południe pod Grapę: z widłami, z kosami, z cepami, która z czem może i co uniesie. Jedzenia wziąć chytro na dwa dni. W chałupach zostawić wszystko w nieporządku — głodne dziecięta, statek niemyty, śmieci na środku izby. Niech gazdują sami, kiedy tacy mądrzy. Żywo!

Babiny rozsypały się migiem po wsi i nuże nakręcać. Jedne się bały, drugie niedowierzwały, trzecie jednak zapalały się i umacniały lub zgoła porywały słabe. W dwie godziny na oczach osłupiających gazdów zgromadziło się pod Grapą dość liczne wojsko babskie i zaczęło potrząsać groźnie widłami i cepami w stronę wsi. Komendę objęła Tereska. Nauczona wielu doświadczeniami wojnę rozpoczęła od rekwizycji całego przysiołka dziańskiego pod Grapą. Siłą-mocą wyгнаła

z niego wszystkich mieszkańców, prócz niewiast i dzieci, poczem rozstawiła gęste warty i zajęła kwatery.

## V.

Niespodziana postawa bab wywołała wśród gazdów głębokie poruszenie. Szczególniej podrażniła ona tych przemyślnych, którzy umieli się wykręcić od wojska, by czas wielkiego zamętu obrócić na pomnażanie chleba powszedniego, przepojonego krzywdą i krwią nieszczęśliwych braci. Ci najgłośniej teraz krzyczeli. Jakto? Oni nie mieszały się do niczego, przez całą wojnę wygadali swoim babom, jak nigdy przedtem, a one postawiły ich teraz narówni z tamtymi? z bohaterami jakimiś? Baby zaś jako baby. Zdarzyła się odmiana, rade jej spróbowwały. Już nawet najwidoczniej wszystkie dworowały sobie z gazdów, bo z pod Grapy słychać było coraz głośniejsze kpiny i docinki oraz wesołe i wykpiśne śpiewki. Gorętsi gazdowie radzili porwać za kije i żerdzie (znalazłby się i niejeden karabin), ruszyć ławą pod Grapę i siłą stłumić bunt babski. Pobożniejsi, jako kościelny, gróbarz i podobni, poszli na poradę do proboszcza. Cóż jednak proboszcz? Wiara nienaruszona, kościół niezagrożony — powiada — on się do tego nie będzie mieszał. Trza — powiada —



z Bogiem, a pocichu i opaternie załatwić wszystko. Insi, starsi poszli do wójta. Cóż z tego? Wójcina była wśród zbuntowanych pod Grapą, a wójt, jako że stary i z austryjaccich czasów — bał się wszystkiego i wszystkich, najbardziej zaś swej żony. Nic wyraźnego nie powiedział. Przysiężny myślał zwołać żandarmów z pobliskiej miejsciny i conieco wojska, bo przecież bunt. Babski, czy niebabski, ale wyraźny bunt. Gromada jednak z miejsca oparła się tej myśli, żeby broń Boże nie doszło do rozlewu krwi, a co gorsze, nie sprowadzić na taką ulegowaną wieś wstydu i hańby, bo i tak będzie gadania a kpin dość (może nawet po gazetach).

Jeden plan zwidział się gazdom. Jędrak Rubiś, który pierwszy po Pęksie był chłop do rzeczy i pierwszy po wygnaniu Hażbietki porachował kości swojej baby, doradził posłać szpiega pod Grapę. Trza się wywiedzieć — mówił — co i jak. Może da się co pomącić. Trza się wywiedzieć, która tam przewodzi. Może da się ją porwać. Potem baby się powadzą, jako zwyczajnie — i rozsypią się...

Nie było znowu nikogo zdatnego na szpiega. Po naradzie wysłano przecie młodego pajtasa, Kojsowego Wojtusia, który niedługo tam zabawił i wrócił cały mokry. Baby opowiedziały mu więcej, niż wszystko, a wkońcu oblały go wodą, żeby się drugi raz na

przeszpiegi nie wybierał. Kłapiąc z zimna zębami, Wojtuś opowiedział, co widział i słyszał. Rodzona matka nie chciała z nim gadać. Rej wodzi Tereska. Baby rozpajedzone i zawzięte okrutnie. Hażbietka Pęksowa też tam jest, ino że od wczoraj nic jeszcze nie jadła i z nikim nie gada.

Wśród chłopstwa zawrzało znowu. Co począć? Na dobitek do wieczora już nieprecz, dzieciska skwierczą, krowy przeważnie nie podojone, jeść nie ma kto gotować — istne piekło.

— Do Pęksy! — dał znowu hasło Rubiś. — On zaczął, on niech skończy.

Zabrali się chłopci ku chałupie Pęksy. Rubiś ani się dobrze nie przywitał z Kubą, tylko z miejsca wyonaczył mu całą rzecz. Ale Kuba słuchał bez znaku zaciekawienia.

— Tyś zaczął, ty skończ z temi babami — nacierał Rubiś.

— Ja zaczął ze swoją...

— Ale one znowę zrobiły. Twoja Hażbietka tam jest.

— Moja Hażbietka...

Kuba się zachwiał. W oczach zrobiło mu się ciemno.

— Moja Hażbietka — jęczał głucho — moja Hażbietka...

Gazdowie pchali się do izby coraz gęściej. Jedni posiedli, insi stali, wszyscy zaś o jed-

nem ino gwarzyli, aby Kuba coś radził. Kuba jednak nie czuł głowy do rady. Łamał się w sobie i zmagał, wszystko daremnie. Duże, niebieskie, przerażone oczy Haźbietki nie ustępowały na krok z przed jego oczu. Zapatrzył się w nie, zatonał w nich. Nie jadł od wczoraj, nie spał, nie ruszał się za próg.

— Dajcie mi pokój. Dajcie pokój -- błagał gazdów. — Dajcie samemu zostać.

— Wysłańców trza tam posłać — strzelił znów Rubiś, któremu gospodarka bez baby najbardziej dokuczała. — Niech powiedzą te choroby zatracone, czego chcą.

— Haj, haj — przytaknęli gazdowie. — Toby było. Ale dwóch a mądrych. Żeby umieli wleźć za skórę...

— Niech idą Pęksa i Rubiś.

Rubiś był gotów pójść. Kuba milczał. Gazdowie zaczęli go nakłaniać i przynaglać coraz natarczywiej. Poniektórzy jęli nawet przedkładać niewinność Haźbietki.

— Dyć się to nie jej pierwszej i nie jej ostatniej przydarzyło. Dziewczę młode, urodne, nie dziwota, że jej dokuczyli. Chłop daleko, na wojnie, słych o nim zaginął, nie dziwota, że złodziej się podkradł.

Kuba nie chciał słuchać. Dźwignął się z ławy, chciał coś gadać i tłumaczyć, rozłożył ręce, lecz nagły, głęboki płacz chwycił go mocno za rozłożyste bary i począł nim trząść,

jak ostry wicher dębem. Chłopom zrobiło się żal młodego gazdy. Obstąpili go wokół i jako mogli — z szczerego serca uciszali ten rozekłany ból. Jakoż ulżyło mu. Zaczem podszedł do swego plecaka, wyjął stamtąd na inną radość przeznaczoną gorzałkę i tabak i postawił to na stole.

— Napijcie się i zakurczcie — częstował. — Ja pójdę sam do nich. Zostańcie, aż wrócę. Poszedł. Gazdowie odetchnęli.

## VI.

Kiedy Kuba doszedł pod Grapę, w babskim obozie podniósł się wielki zgiełk i pisk straszliwy. Gdyby Tereska nie nadbiegła, buntownicy byłyby chyba wzięły Kubę na żelazne widły i w największym ogniu żywcem usmażyły. Tereska jednak w te loty opanowała wzburzone wojsko.

— Nie wtrącać się do niczego. Stać na swoich miejscach i wartować! — rozkazywała.

Tereska przeprowadziła Kubę aż pod swój domek i tu u progu kazała mu czekać. W dwóch izbach pełno było zbuntowanych niewiast. Rozkazała wszystkim przejść do czarnej izby, w białej zaś zostawiła tylko zgorączkowaną i spłakaną Haźbietkę z dzieckiem; poczem zawołała Kubę.

Pęksa, wchodząc chwiejnie do izby, zatrzymał się w progu, gdy dostrzegł żonę. Widok tej małej, gazdowskiej córki, gazdowskiej żony i to gazdowskiej, jak się patrzy, ukochanej ponad zwyczaj wiejski, ukochanej jak rzadko, wypiaastowanej w myśli od chłopięcych zamierzeń i dumań — widok żony, która zdradziła go, wstyd ściągnęła na ród niedzielszy i dom niebylejaki, zalał znów zbiedzone serce jego gorzką falą bólu i palącego cierpienia. Lecz przemógł się. Pochwalił Pana Boga i podszedł na środek izby. Zapanowała cisza.

— Cóż powiesz, Kuba? — zaczęła Tereska.

Kuba nie umiał odpowiedzieć. Prawdziwie — przygnało go tu coś, bo tu Haźbietka była, ale coby miał powiedzieć, nie umyślił sobie. Próbował coś bąknąć, byle zbyć Tereskę, ale mu to nie szło.

— Pewnie se myślisz — dworowała już Tereska — że Haźbietka nie obstoi bez ciebie? Nie bój się, nie zginie. Nikt jej ta już nie kopnie, nie wyrzuci za drzwi. Świat szeroki, lepsi ludzie od ciebie znajdują się jeszcze. Pan Bóg jej przebaczy, a ty nie będziesz Boga poprawiał.

— Nie wasza sprawa — twardo wyrzekł Kuba.

— Nie moja? A pocoś tu przyszedł? Kto cię tu wołał? Czemu te wszystkie baby tu

uciekły i tu sie opowiedziały przeciw wam? Zbóje niesprawiedliwe i bez serca...

— Ja niesprawiedliwy i bez serca?

— I ty. Dochowałeś wiary twojej Hażbietce przez wojnę? Dochowałeś? Przysięgnij, żeś dochował, przysięgnij tu, na ten krzyż święty!

Tego się Kuba nie spodziewał. Nie śmiał popatrzeć na krzyż, nie śmiał oczu podnieść w tej chwili na obrazy święte. Zawierucha wojenna niosła go, jak zamieć djabelska i gdzie niebądź poniosła nieraz. Ale przecie w sumieniu nie widział zdrady.

— Nie było zdrady, zdrady nie było — wyszeptał. — To co inne... To wojna, ja nie winowaty...

— Wojna! A ona, Hażbietka, winowata? To ty se rachujesz, że krzywda chodziła ino po polach, tam, gdzieście sie mordowali, a te biedne i opuszczone chałupy mijała? Wy tam, wasi kamraci tu nas poniewierali...

Kuba przygarbił się ku ziemi. Miałby był jeszcze co powiedzieć, ale nie umiał, nie umiał tego wydobyć z siebie. Podszedł wreszcie ku Hażbietce i prosto, z serca powiedział: daruj mi, nie pamiętaj mi. Hażbietka przygarnęła się ku niemu wszystką swą najczystsza istnością. On podał jej dziecko i poszli z nowiną ku wsi.

---

## ZA CZASÓW OBYRTACZA.

Rzecz odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie *Kurjera Warszawskiego* w r. 1922.

Cud boski z tą Bielawką! Najstarsi ludzie przepowiadali nieraz, że ją albo woda zaleje albo góry zasypią, a jej się dotąd nic nie przydarzyło. Stoi, jak stała od niepamiętnych czasów. I jak drzewiej, tak i teraz nie sposób wyznać się na niej. Tak ją roztracił Bóg wśród rozpadlin, jarów i gór. Niewiada, gdzie jej początek, gdzie środek, gdzie koniec.

W jednym tylko miejscu, u samego zjazdu z potężnego Wesołego Wierchu stoi w kupie gromadka małych chałupiąt, reszta poprzylepiała się niejako do brzeżków, wtuliła się w przylaski i zacisza. Siadają tu jeszcze ludzie, którzy nietylko nie widzieli innej wsi, ale i swojej dobrze nie znają. Śmieją się oni, że jak wyjdą poza Bielawkę, to na dobre. Albowiem cmentarz jest aż w Porabie. Ale są tu już i światowcy...

Jednako wszyscy uprawiają swą skalistą ziemię, jednako męczą się i głowią nad jej

niechętną płodnością. Od czasu do czasu któryś z światowych, w największej tajemnicy wyrwie się już chytrze z jakąś zasadzką na Pana Boga. Taki Kośmider posiał łośńskiego roku i pszeniczkę na słonecznym zboczcu. Chuchał na nią, dozierał i cosi mu tam urosło. Z tej pszeniczki jadł pono biały chleb aż dwa razy, a Bielawka oblizywała się cały rok. Kumoter Bolawy puścił się zaś na koniczyne. Posiał ją na samym wierchu, gdzie jeno wiatr harcuje i urosła tak, że się aż przełękł. Kiedy ziemię dla niej ruszał i poprawiał, myślał, że ją ta zniesie w chuście za jednym razem. A on musiał się drapać po nią siedm razy — tak wybujała. Juści sąsiedzi w krzyk na niego, żeby to sprzedał, kiedy konia nie ma. Ale Bolawy puścił krzyki koło uszu, a koniczyne podawał krowie. Całą zimę pił słodkie mleko i tak pod wiosnę napęczniał, że kumoszki jeły onaczyć Bolawej, coby się szykowała...

— Ono tu już i tak bywało, że i na chłopa przyszła kolej — szuściwały dokuczliwie.

Insi Bielawczanie imali się, ale tylko zimą, kupiectwa. Stary Glada puszczał się aż pod Tatry i skupował szmaciska, które potem odsyłał żydom do Chabówki. Wolowały Dybka chodził po wsiach z igłami i nićmi i jakoś ta przepchał życie, poniektórzy zaś zbierali jesienią cherlawą buczyne, w zimie palili nią,



a pod wiosnę sprzedawali popiół, bardzo potrzebny majętnicom odrowązkim i pieniążkowickim do bielienia płótna.

I tak się ta pchało to życie, jako mogło. O Bielawce mało było słyhać — rozgruch o niej i o nią robił się dopiero wtedy, gdy wzięto którego z jej chłopców do wojska. Zdarzało się to rzadko. Jednak zdarzało się i tak, że wzięto naraz dwu.

— Dwóch z jednej wsi, cuda cudeckie, czego już z tą Bielawką nie wyrabiają. Dwóch z jednej wsi! Mógłby se i cesarz uważać, co robi — lamentowała wtedy Bielawka. Wójt bielawczański na głos rozповідаł, że się zrzuci z wójtostwa i nie ukazywał się światu przynajmniej z rok.

Podczas wojny cesarz uważył sobie Bielawkę na dobre. Musiało coś na rzeczy być, bo co ino gdzie jakie zwycięstwo odniósł, to zaraz Bielawce przysłał pismo, powołujące nowych wojaków. Czasem i żandarmów po nich przysyłał. Wreszcie jakoś się uciszyło. Stary cesarz umarł, młody zaś tak gazdował, że wlot przegazdował wszystko. Odeszła Austria, nadeszła Polska. W Bielawce dowiedzieli się o tem ludzie koło Bożego Narodzenia w r. 1918. Dowiedzieli się zaś od wójta Kucika, który zwołał co przedniejszych w narodzie i tak do nich przemówił:

— Moi piękni, mamy nowy interes. Kto z was był w mieście na jarmarku, ten musiał zmiarkować, że przyszła odmiana. Austrii niema. Nastąpiła Polska. Jak dotąd było, tak było, to wiemy wszystka. Raju nie było. Ale nie wiemy, jak będzie. Nowy starosta kazał mi przysięgać względem Polski. Toż to przysięgłem. Potem zażądał, coby w Bielawce był spokój. Nie wiem, o co mu ta szło, bo my tu przecie zawsze byli spokojni. My tu nie harmacili ani nie zbójnikowali, jak hańci — wskazał wójt głową ku południu, za Wesoły Wierch, ku Tatrom. — Do reszty moi piękni, co będzie to będzie, szubienic — myślę — nie będzie. Ale żołnierza będziemy musieli znowu dać. Bo Polska wojuje dalej. Panowie chcą, żeby się głosić na ochotnika, nale... prze Pana Boga... my tu przecie zasiedzieli i patrzyłoby nam się jakiesi prawo, a nie tak...

Wójt skończył. Nie chciał mącić, nie chciał narodu burzyć, choć było o co. Na wieczór zwołał radę gminną i z miejsca oświadczył, że ustępuje. Czasy niepewne — mówił — ja stary. Polska chce od nas wojska, a nie bierze go, ino powiada — niech się głosi, kto chce. Ja temu nie rozumiem. To nie po gazdowsku. Po innych wsiach — wiem — uciecha wielka, chorągwie wywieszają, procesje robią, ale — prawa dotąd nie widać. Bez prawa licha i zabawa.

I stary Kucik zaciął się tak, że nie pomogły prośby ani perswazje. Ustąpił.

Trzeba było szukać nowego wójta i to przemyślnego, światowca. Oczy radnych zwróciły się na Obyrtacza, o którym w Bielawce wszyscy wiedzieli jedno, że rad chodził, jakby go co goniło. Zimą — latem gnał światami niby za zarobkami, w rzeczy zaś coś go musiało nosić, bo ta tych zarobków nie było widać. Znał doliny, gdzie chadzał kosić, znał Peszt, znał Saksy, był nawet przy morzu, bo brał się w Hamerykę, ale go stamtąd zwrócili. Pono sifkartę miał mylną, coś jej ta chybiało.

— Póki się świat nie ułoży, Obyrtacz będzie dobry — uradzili gazdowie.

Obyrtacz przyjął wójtostwo. Na drugi dzień poszedł z Kucikiem i z paru radnymi do miasta, aby starostę uwiadomić o zmianach w Bielawce. Starosta zatwierdził wszystko i znowu zażądał ochotnika.

— Rusnacy szarpia Lwów, Moskał pcha się ku Polsce — mówił — niechże i Bielawka da jaką pomoc.

Obyrtacz przyrzekł naradzić się z gromadą. Ale gromada ze starym wójtem, z Kucikiem na czele — odmówiła. Jak wolność, to wolność. Niech się insze wsi ochotnikują, Bielawka czeka na prawo. I Obyrtacz musiał wysłać do starostwa Rzeczypospolitej pismo,

które mu dyktował Kucik. W piśmie tem Bielawka domagała się sprawiedliwości, niczego więcej. Żołnierza obiecywała, ale z poboru. Jak jest rząd, to niech rządzi, jak chce wojska, to niech bierze — ale nie tak, pociemku, na wrywki, co kto woli. Obyrtaczowi drżała ręka, kiedy to pisał. Ale pisał i podpisał. Gdy jednak mijały tygodnie, a na pismo to nie nadchodziła odpowiedź, Bielawka zapomniała o niem. Zapomniała wogóle o sprawie ochotnickiej.

Wreszcie rząd polski zarządził pobór. Obyrtacz mrugnął sam do siebie. Musiało tam pismo jego narobić szumu — pomyślał. I po raz pierwszy poczuł się mocniej na wójtowskim krześle.

Podhałe zahuczało nową piosenką rekruczką. Zadudniała, zaśmiała się ona i w Bielawce. Obyrtacz pozbierał wszystkich, zdrowych i chorych, sietniaków i wołowatych, gdzie jacy byli i pognął z nimi lem świt do miasta na odbiórkę. Z piętnastu Bielawczan siedniu uznano za zdolnych do służby wojkowej.

Aż siedmiu! He, raty przeraty! Naród bielawczański nie był rad z tego, mruczał pocichu i narzekał, ale równocześnie czuł, że naprawdę coś się odmieniło. Nieboszczyk cesarz za spokojnych czasów brał z Bielawczan jednego — dwóch i to niekażdego roku,

podczas wojny pociągał co pewien czas po trzech, po czterech — ale siedmiu naraz nigdy nie wziął. Musiała Bielawka wpaść w oko tej Polsce. Obyrtacz, jako wójt, podniósł głowę wysoko. Teraz wiedział, że jest wójtem i to niebylejakim. Żaden z okolicznych wójtów nie mógł się pochwalić siedmiu rekrutami z jednego rocznika. Nawet pieniążkowicki.

— Że Pieniążkowianom zaliczyli ochotników — ktoś onaczył Obyrtaczowi.

— Tam nic nie zaliczali — odpalił wójt bielawczański. — Widzieli tęgich parobków, to brali, a dziadów odsyłali do domu.

I Obyrtacz podnosił, gdzie mógł, godność i honor Bielawki. Jął się pokazywać często i wszędzie, zasiadał na różnych sesjach powiatowych (nie tak, jak stary Kucik), radby się i postawił nieraz, gdyby to nie tak drogo kosztowało. I w tym względzie jednak robił, co mógł. Popijał z wójtami okolicznymi i zaprzyjaźnił się z nimi, politykował i wysługiwał się im. W ten sposób podnosił Bielawkę do rzędu tych wsi, o których mówi się na całym Podhalu; zdobywał dla niej — stanowisko. Przy napitkach rad wracał myślą ku swoim siedmiu wojakom.

— Hej, podkreści se ta i Piłsudski węża, kiedy staną przed nim Bielawczanie...

— A podkreści, coby nie podkrecił --- uśmiechali się wójcia.

I po raz setny wywodził, jak on to został wójtem, jak nie chciał i jak się musiał poświęcić, bo przecie i Bielawka coś znaczy, ino musi mieć głowę. Nikt mu się nie prociwił, bo prawda była jasna.

Najwięcej jednak naradzał się Obyrtacz ze swoim pisarzem gminnym, z takim Kantusiem Skalką, co miał pod brodą wól większy od głowy. Ten Skalka rad słuchał wójta i nieraz tak się potrafił zasłuchać, że niesposób go było ocucić. Obyrtacz wykładał mu często swoje plany i zamiary, zaklinając, aby je trzymał w tajemnicy. Skalka kiwał głową na znak zgody i słuchał dalej.

Obyrtacz przemyślał nad tem, jakaby po sobie zostawić pamiątkę, co zrobić, coby zostało w Bielawce na zawsze, o czem musieliby mówić i potomni: to zrobił wójt Obyrtacz, to się stało za Obyrtacza. Za Kucika nastąpiła Polska. Ale za Kucika Polska nie wiedziała o Bielawce. Dopiero Obyrtacz ją ukazał, Obyrtacz ją podniósł, Obyrtacz dał jej hyr i sławę. Kiedy dawniej Kucik pojawił się czasem na jarmarku w mieście, to go tam nikt nie widział, a Obyrtacza pokazują wszyscy.

— Obyrtacz idzie! Wójt z Bielawki! — nieraz to słyszał.

Tylko sami Bielawczanie nie doceniali swej gminy ani swego wójta. Po staremu dziado-

wali koło swych obejść, a o wójcie gadali ino wtedy, gdy widzieli, że wójcina sama kosi, sama grabi i sama zwozi do stodoły.

— Hej nasz wójt wójtuje — uśmiechali się. I to było wszystko.

Wreszcie jednak wójt wpadł na pomysł, który mógł olśnić nietylko wszystkie gminy dokoła, ale i samą Bielawkę. Pomysł był tak śmiały, że Obyrtacz nie miał odwagi wyjawić go nawet pisarzowi. Gdy wszakże przedumał go wiele razy, gdy utwierdził się mocno w przekonaniu, że tylko szybkie działanie może go urzeczywistnić, zawołał Skalkę i wręcz mu oświadczył:

— Z Bielawki robimy miasto.

Pisarz wytrzeszczył oczy. Chciał coś powiedzieć, już nawet w jego woli odezwała się cała muzyka, ale Obyrtacz sam gadał dalej.

— Robimy miasto. Mamy we wsi z dwiestu ludzi, to na początek dość. Żydy sie zjadą wnet, jak ino zasłyszą, co sie tu dzieje. Kościół sie postawi, rynek sie znajdzie, jedna karczma już jest. My sie przeniesiemy na ratusz, panie sekretarzu — uśmiechnął się Obyrtacz do pisarza, który machał ręką, lypał oczyma i natężał się, co niemiara, chcąc koniecznie coś powiedzieć.

— Niema miejsca — wybełkotał wreszcie.

— Miejsca niema?

Obyrtacz miał Bielawkę w głowie. Przy-mrużył oczy, przepatrzył ją w myśli po raz setny.

— Trza rozsadzić ze trzy góry, potoki przepuścić za Wesoły Wierch i będzie miejsca dość. A to trza zrobić teraz, kiedy się cała Polska buduje; trza naglić, bo takiej chwili możemy już nie chwycić...

Skałkę zaczął podrzucać gwałtowny śmiech. Kręcąc głową uparcie, znów próbował coś powiedzieć. Wójt zelżał. Czekał na replikę.

— Przyłączyć do Bielawki Porabę, a potem robić miasto — wykrztusił wreszcie pisarz.

Wójta olśniła ta myśl. Istotnie. W sąsiedniej Porabie wszystko było gotowe. Kościół, rynek, kilka sklepów, dwór, tracz, wszystko. Przyłączyć tylko do Bielawki, ogłosić miastem i sprawa załatwiona. Że też to musiało przyjść do głowy takiemu wolowatemu Skałce, a nie wójtowi.

— Toby też było — spokojnie i chłodno cedził Obyrtacz swe słowa. — I toby było. Może i tak być. Wójt tam głupawy, nam przypadnie burmistrzowstwo. Bedzie. Ino — cicho. Nie gadać o tem z nikim i nikomu — groził Obyrtacz palcem. Trza ułożyć pismo.

Pisarz rozłożył papier. Już i pióro zamoczył w atramencie, gdy wójt kazał mu się



wstrzymać. Nie wiedział, do kogo pisać. Do starostwa w mieście, do Krakowa, czy do samego rządu w Warszawie. Starostwo z ządności może wszystko popsuć — medytował — Kraków też nie pewny. Tam urzędują nad byle śliną tak, jakby chodziło o koniec świata. O Warszawie zaś słyszał, że tam radzi popierają wszystko, co nowe, nie głowią się nad byle czem i nie zważają na żadne krzyki. Zresztą co głowa to głowa, a nie ręce lub nogi. Warszawa zwyciężyła. Zaczęli pisać. Powoli im to szło, ale szło. Lepiej wolno, a zdolno. Co nagle, to po djable. Opisali najpierw Bielawkę. Obszernie, a opaternie. Tak, żeby było dużo do czytania, mało do uchwycenia. Podkreślono jednak dobitnie, że Bielawka może sobie wystarczyć sama. Ale chętnie przytuli ku sobie Porabę ze względu na niektóre jej urządzenia. Nie wymieniono wszakże tych urządzeń. Starostwo może zostać, gdzie jest. Sądy się przydał. Apteka niepotrzebna. Naród w Bielawce taki zdrowy, że świeżo po wielkiej wojnie dał siedmiu chłopców wojsku, a o niedługo może dać drugie tyle. Już dorastają.

Dodali jeszcze to i owo i skończyli. Wójt postanowił sam z zachowaniem wszelkich ostrożności, wrzucić to pismo do skrzynki pocztowej. Mógł to zrobić w Porabie, ale ją ominął i poszedł z niem aż do Chabówki.

Gdy wracał stamtąd, czuł się już burmistrzem. Góry się rozstały, potoki usunęły się nabok, Bielawka przestrono i swobodnie stała na wielkiej równi. Zboku doczepiła się ku niej Poraba. Wyglądała na przedmieście. Obyrtacz uśmiechał się i do niej. Na rynku bielawczańskim akurat był jarmark. Fury, bryczki, stragany, ryk bydła, dobijanie targów — to wszystko zlewało się w jakąś radosną muzykę. Nagle on, Obyrtacz, zjawił się na rynku. Pokazują go sobie. On nic. On też kupczy. Jest burmistrzem, chodzi w wysokich butach i kupczy. Ale czem? Kupczy solą. Wszyscy u niego kupują. Nawet żydzi. Robi świetne interesy. Sprzedaje całe stopy tej soli i nie ubywa mu nic.

Tak dumając, doszedł ku karczmie w Porabie i spostrzegł się, że mu w gardle zaschło, a wargi obsiadła gęsta słoność. Wszedł tedy do karczmy. Karczma nie wiedziała jeszcze, co ją czeka, nie przeczuwała, że lada tydzień będzie restauracją w mieście Bielawce. Obyrtacz to wiedział i dziwnie błogo uśmiechał się do jej ścian i do ludzi, których w niej zastał.

— Śmieje się jak dziad do sera — syknął ktoś za nim.

— Skądęście i za czem chodzicie? — docinał inny.

— Dyć to wójt z Bielawki — parsknął śmiechem jakiś urlopnik.

— Burmistrz. Na zdrowie, panie burmistrzu — pchał się ku niemu jakiś włóczęga wojenny.

Obyrtacz chciał się cofnąć. Zdało mu się, że ci ludzie podpatrzyli go i odkryli jego tajemnicę. Gdy wahał się — jacyś dwaj przynapici gazdowie ujęli go pod ręce i zawiedli do szynkwasu.

— Co wójt to wójt — mamrotali nowi przyjaciele. — Dyćby go tam i w Bielawce wójttem nie zrobili, jakby nie miał głowy na karku, a nóg, uczciwszy uszy, poniżej...

Karczma zatrzęsała się od śmiechu. Gdy jednak Obyrtacz postawił trzy wódki i napił się z gazdami, uciszyło się nieco. Przysunęli się nawet ku niemu nowi przyjaciele. Obyrtacz i tych zratował. Złe śmiechy przemieniły się w dobre i życzliwe. Obyrtacz pozyskał całą karcznię. Gdy wychodził, rozległy się nawet wiwaty na jego cześć.

To go podniosło na duchu. Wiedział już, jak w razie czego zdobyć całą Porabę. Szedł tedy ku Bielawce mocny, śmiały i dumny. Przy pierwszych płotach bielawczańskich spotkał jedną Rozalję — niewiada, jakie ta przezwisko miała, Rozalję ładną, nieco z pańska przybraną, jako że w Myślenicach u pannów służyła. Wójt ucieszył się niepomiernie

jej widokiem, albowiem mogła śmiało uchodzić za pierwszą mieszczańkę bielawczańską. Gdy nadto powitała go wdzięcznym kiwnięciem głowy i dziwnie miękko wypowiedzianem „dzień dobry“, pod Obyrtaczem zadygotały nogi z przemilenia. Juści zaczął z nią baraszkować i uchwalać. Zwidziała mu się do cudu. Kiedy się rozstawali, podali sobie ręce. Po miejsku. On długo jeszcze stał i patrzył za nią. Ona się obejrzała raz i drugi, a za każdym razem posłała mu uśmiech. Tak bywa w Peszcie i Hamburgu. Nieraz to widział i sam miarkował. Rozalja na wsi — marnieje. Rozalja w mieście — kwitnie. W mieście Bielawce i jej i jemu z nią pasowałyby bardzo. Odrazu wiedzieliby oboje, co, jak i gdzie. Jeszcze raz spojrzął za nią i uśmiechnął się zawrotnie, przeciągle a cicho. Ona tak samo. Zrobiła nawet taki ruch, jakby chciała wrócić ku niemu. Tego się zląkł. Taby było za wcześnie. Bielawka jeszcze wsią. Zaraz cię wezmą na języki. Przytem i baba jego — nieszczęście wsiowe, zacądrane i tępe — Boże, coby to było. Zimny pot oblał go na myśl o niej. A ona stała już przed izbą i czekała na niego z ozorem.

— Tyle roboty w polu, ludzie orzą, sieją, sadzą, a ty wójtujesz światami — wrzeszczała. — Dyć się wstydz ludzi, jak sie Boga nie boisz.

— Ale, co ty wiesz — odburknął wójt. — Urząd się nie pyta o roboty w polu, bo urzęduje. Jakaś wójcina, to cierp.

— Wójciną. Na siedmiu wolach i jednym pijaku...

— A siedmiu wojaków to nic? — podniósł głowę Obyrtacz.

— Dyc ci tu już jednego odesłali.

Obyrtacz wytrzeźwiał. Oczy wytrzeszczył na babę, usta otworzył, jakby chciał naraz połknąć całą wiadomość ze wszystkimi szczegółami. Nadszedł jednak i pisarz, który zdaleka, pomimo muzyki w wolu, głośno i niezwykle płynnie, jał rozpowiadać, co i jak było.

— Koźlika odesłali. Koźlika Wincka — stęknął. — Że za głupi na wojsko. Ale haw Koźliki wszystkie takie i ja się nieraz dziwił, że go ta Polska przecie wzięła w służbę. Dyc Koźliki to tak: nogi — siadaj na konia, a głowa wiaderko z wodą...

— Ja tego Koźlika nauczę rozumu — rozsierzdał się wójt.

— Nie nauczycie — odpalił Skałka. — Dyc to głupie. Dyc się to ino śmieje i śmieje, a za jedzeniem patrzy.

Wójt nie mógł tego dnia zasnąć. Koźlik stał całą noc przy jego głowie i śmiał się. Wójt myśli o Porabie, Koźlik przepija do niego — wójt głaska Rozalję, Koźlik śmieje się

do niej. Tak całą noc, całą noc, do białego rana.

Rano wójt próbował chwycić się jakiej roboty. Daremnie. Ten Koźlik, ten Koźlik. Już go tam i w Warszawie mają wykreślonego. Na pewno. I taki niedojda może wszystko popsuć. Gdyby mógł, toby skuł teraz tego dziada zatraconego i odesłał do wojska jako udawacza, ale... z dziadowską głową nie nawojujesz dużo. Obyrtacz plątał się koło chałupy, pozierał w pola, nie mógł sobie miejsca znaleźć. Co siadł, to go cosi dźwigało. Schował się za izbę, rozłożył gazetę niedzielną, chciał czytać. Nie mógł. Znowu go cosi popędzało. I jasno zdał sobie sprawę, że gdyby Bielawka była miastem, miesiące całe i lafa byłoby za czem chodzić. Albo — gdyby został posłem... Uśmiechnął się. Toby było. Usiadł. Mógł znowu dumać. Bielawka byłaby miastem bez wszystkiego. Nie pomógłby wniosek, zaradziłaby interpelacja. Rozalja, jej miękkość i przegibność... Lecz nagle zjawiała mu się w myśli jego żona z Koźlikiem. Przetarł oczy, zerwał się i zaczął rąbać drwa.

Na takim to spychaniu nie minął może i tydzień od powrotu Koźlika, gdy zjawił się drugi rekrut bielawczański — Wróbel. Temu znów dokuczyła wielka choroba. Sam opowiadał z radością, że na paradzie wojskowej przed generałem Galicą raz tak go prasło

i tak nim ciskało, że go nawet saniteci chwycić nie mogli. No i doktorzy odesłali go. Rad ze swego losu Wróbel opowiadał bardzo dużo o swych przeżyciach rekruckich. Odwiedzali go chłopcy z okolicznych wsi, aby się nasłuchać i móc dalej opowiadać, jak to siedmiu Bielawczan służyło raz w wojsku. Dość powiedzieć, że pierwszego dnia służby żaden z nich nie wiedział, jak wyjść po schodach na piętro. Puścili się na raczku. I też było dobrze. Kiedy ich ostrzygli, wykapali i przebrali w łachy wojskowe, to się nie mogli poznać. I wszyscy siedmiu stanęli do raportu ze skargą na podoficerów, że ich jakimś sposobem poodmieniali. Bo Kuba niby czuł, że on Kuba, ale Michał w to nie wierzył. Kuba znowu nie wierzył Michałowi, że on Michał. I raportów było tyle, że aż do Warszawy poszły.

Tego było Obyrtaczowi za dużo. Że już cała okolica mówiła tylko o bielawczańskich wojakach, toby było pół biedy. Ale — Warszawa! Trzeba było na gwałt protestować, tem bardziej, że Wróblem od powrotu z wojska nie ciskało jeszcze ani razu. Obyrtacz zawołał Skalkę i zasiadł z nim do rady.

Pisarz otworzył najpierw pisma, które nadeszły z miasta. Nie było ich ta dużo, ale jedno było ważne, bo wzywało wójta i dwóch radnych przed starostę. Na jutro. Chłopi się

zadumali, coby to miało oznaczać, ale nic nie wydumali. Odłożyli ino naradę nad protestem.

Drugiego dnia wójt pozwał dwóch radnych i poszedł z nimi do miasta. Gdy weszli do sali starościńskiej, zastali tam już wójta porabiańskiego z dwoma chłopami, pewnie także radnymi. Obyrtacza coś pikło. Chciał pogadać z nimi, ale wszedł i starosta, który odrazu przystąpił do rzeczy.

— Nadesłali mi z Warszawy pismo gminy Bielawka. Z pisma tego wymiarkowałem, że gmina Bielawka pragnie się przyłączyć do Poraby. Czy tak?

Obyrtacz zachwiał się. Ściany jeły tańczyć przed nim, podłoga zaczęła się usuwać. Nim się opanował, Porabianie już się unieśli z krzeseł, a wójt ich dumnie odparł:

— My Bielawki nie chcemy. To ino kłopot, a prefitu żadnego. Nie chcemy.

— Dyć tu nie o to szło — belkotał wójt bielawczański — my chcemy zrobić z Bielawki miasto...

Radni z Bielawki zdrętwieli.

— Pierwszy raz słyszymy, bójcie się Boga, jeszcze nam tego brakowało — rozkładali ręce przed starostą. — Za cóż nas też ma spotkać ta krzywda, za co?

Porabianie aż się pokładali od uciechy.

Obyrtacz chciał jeszcze coś onaczyć, już mu ślinka podsuwała i onych siedmiu woja-



ków, ale starosta oświadczył krótko, że uważa sprawę za skończoną.

W Bielawce wybuchła rewolucja. Rada gminna zrzuciła Obyrtacza z wójtostwa, a Obyrtaczowa zaczęła się karmić słodkim mlekiem. Najpoważniejsi gazdowie zwrócili się do starego Kucika z prośbą, aby zasiadł ponownie na wójtowskim krześle. Kucik nie odmówił.

— Nie odmawiam, przyjmuję po raz piąty ten urząd, skoro po raz piąty chcecie, moi piekni. Dwadzieścia cztery roki wójtowałem, powójtuję jeszcze co nieco, bo widzę, że ono się cosi przeodmienia, że ta już nie jest tak wszystko niepewne. Skoro i Koźlika odesłali i Wróbla nie chcą, to tam widać nie łakomią się na byle co. Przyjmuję, skoro z Bielawki nie robią miasta, a z Obyrtacza cesarza. Widać i we Warszawie wiedzą, co miasto, a co Obyrtacz. Ino — co się tyczy Obyrtacza, to trza go pilnować, trza go mieć na oku. A najlepiej — zrobmy go przysiężnym. Bedziemy go mieli między sobą.

I tak zrobili.

A Rozalja znów wróciła na służbę do Myślenic.

---

## WDOWCY.

Kumotrowie Głobiś i Pabiś stowarzyszili się z sobą jeszcze za pasterskich czasów tak, że — zdawało się — już ich nic nigdy nie rozłączy. I nawet samo życie jednako im się układało. Zwidziała się, dajmy na to, Głobisiowi Teresa, już się i Pabiś koło niej kręcił i oblizywał. Pojrzał zaś Pabiś na Magdusię, ono to samo jęło kusić i Głobisia. Jakoś się przecie uładzili wreszcie, że się pożenili obaj i gazdowali ze swemi babinami sporo lat. Aż owdowiał Głobiś, a w jakiś czas przyszła kreska i na Pabisia.

Póki Głobiś wdowcował sam, było pół biedy. Nie ponosiło go ta bardzo. Jako przy siężny, musiał ta nieraz, przeciw woli, i słowa uważnie rachować i krokiem przezornie obracać. Skoro jednak i Pabiś owdowiał — amen. Kumotrowie zeszli się znowu i postarremu jęli radzić, kręcić głowami, popluwać a myszkować i spekulować, aż uradzili pożenić się na nowo.

— Co będzie, to będzie, ono z babami będzie weselej gazdować...

No i dobrze, ale niebardzo. Puścili się obaj wraz w gońbę za babami. I cosi oni musieli mieć do siebie (może ta jaka boginka im co zadała), bo... zwidziała się, dajmy na to, Głobisiowi Teresia, już się i Pabiś koło niej kręcił i oblizywał. Pojrzał zaś Pabiś na Magdusię, ono to samo jęło kusić i Głobisia. Cuda cudeckie!

Aż się przecie Głobiś wyrwał Pabisiowi na jakąś chwilę i w trzeciej wsi u Kondziarów znalazł wdowę dorodną, rozłożystą i młodą, a było jej po imieniu Jewka. W jednym dniu rozmówił się z nią i dał na zapowiedzi. Okrutnie to potem Pabisia zmarkociło. Akuratnie tej wdowy jakoś se nie uważył dotąd. Kiedy go Głobiś zaprowadził ku niej, coby się przecie pochwalić, co on to i jako on to porobił, Pabiś zmysła potracił. Tak mu się ta Jewka zwidziała. I tak se już myślał i pomysłował, że onby przecie tak samo, jak i Głobiś, a może i lepiej i rzetelniej z nią zaradził... Nale — darmo.

— Głobiś mie przezdradził, przezdradził mnie Głobiś — labiedził nad sobą, ale powoli oswajał się i z tą wolą boską.

Jak tam co było dalej, nie wiem. Ale co było przed samym ślubem, to wiem, bo mi to opowiadał trzeci wdowiec, Tamborek Jacek z Pieniżkowic, muzyka, co miał grać na Głobisiowem weselu.

— Wiecie, kumotrze? — gadał mi Jacek. — Ja jestem muzyka. I rad gram i umiem grać. I taki Bartuś Obrochta z Zakopanego albo i Duchowie z Cichego, muzyki nad muzyki, mieliby uciechę i radosną uciechę pograć ze mną. Ale wtedy, na tem Głobisiowem weselu — tamby i święty skrzypki prasnął...

— Grać! Ja wiem, jak grać. Ale grajcież i wy — zaogniał się Jacek — dyć grajcie, jak stanie przed wami maruda i zacznie bałamuć, gławędzić, tarmosić nogami, a jedno drugiego sie nie trzyma, bo trzymać sie nie może. Ani to w uchu porządku, ani w głosie nuty, ani w nogach honoru — dziadostwo i dziadostwo. Tak sie wej zaczęło u tej Jewki, w sam wieczór przed ślubem. Wyszedł pierwszy przed muzykę Pabiś. Głobiś wyprowadza mu do tańca Jewkę, niby już tę swoją. Dyć pięknie. Gramy. Ale my gramy swoje, a Pabiś koślawi swoje. Kręcę głową. Mierzi mie to. Ale ta Pabiś nie paradował dużo, wnet sie zaspapał, zaśpiewał „zieloną lipkę“, wyobertał młodą i skończył. Myślę se — chwala Panu Bogu. Ledwom pospraszczał nuty — staje przed muzyką Głobiś, a Pabiś znowu wyprowadza mu Jewkę. Tak se nią dogadzali. Głobiś odrazu rozwarł gardło, jak wrota, zagulgotał ta cosi, jakby kto kłapaczem nad uchem zakłapał, przybił nogą, ona to samo, zwyrtnął sie ku niej i tańczy. Zamiata temi nożyskami po

izbie, jak dziad torbami. Ani mu nuty dać, ani jej od niego zachycić. Kiwam ja na sekundy i basy: wolniej, bo to stary trzop, jeszcze się ozleci. (A o trzy roki miał mniej ode mnie.) Zwolniliśmy. On i tego nie słyszy. Zamilata dalej — bałamuci i bałamuci. Kiwam zaś głową na muzykantów: ostrzej. Niech robi, co chce. On nic. Gajdosi i gajdosi. Przycupkujemy piętami o ziem w czterech, coby przecie usłyszał takt — on swoje. Pitwasi i pitwasi. Już mi i skrzypki jęły dygotać ze złości. Już myślę popuścić struny, coby zacharczały, coby raz skończyć to dziadowanie — a tu mnie chwyta za rękę mój syn, Wawrzuś i porywa mi skrzypki. Myślę se — graj ty. Zerwałem się z ławy, pójdę — myślę se — do domu, albo do karczmy, — ale Wawrzuś, dziecko moje, skoro się dorwał moich skrzypek, zmienia takty, wałaską nutę gra... Podpaliła mnie ta nuta...

— Głobiś! — skłoniłem się wedle zwyczaju i jemu i jej — wolno?

Głobiś zziajany i zasapany miłe mi ustąpił miejsca i tanecznicy i cofnął się ku drzwiom. A Jewka spojrzała wtedy na mnie, jakby ją kto na sto koni posadził, bo ta zaś wiadomo jest, że ja nie ino gram.

Wawrzuś, dziecko moje, przechyla głowę wtył, przymyka oczy, prawą nogą taktuje, a do mojej nuty dobiera się i dobiera coraz

ceniej, a coraz ostrzej. Sekundy za nim. A basy dudnią, aż się izba kolebie. Zrucam serdak. Podnoszę rękę. Ustają grać...

Rubajom mie, siekajom mie  
u zielonej wodzicki,  
nie chodź, dziewce, nie ratuj mie;  
zamocys se trzewicki!

Tańczymy. Patrzą na Jewkę, Jewka na mnie. Przybijam nogą. Ona oddaje. Cyfruję w lewo — ona się niesie, jak piórko. Przekładam w prawo — ona za mną. Gonię ją, klaskam w ręce, patrzą na ludzi, a Pabiś coś mruga na mnie.

— Ostro, Jacku, ostro — przychwała mi.

Ja nic. Chce Jewkę wyobertać Pabiś — ona ucieka. Chce ją wyobertać Głobiś — ona ucieka. Za honor mi to było, toż to jeszcze się ostrzej zabrał do niej. A ona boczkowała już i zachodziła, jak ta łania po leśnej polanie. O chwilę — cyfruję w lewo, a z boku znowu widzę Pabisia, jak mruga to na mnie, to na Jewkę.

— Cożby to miało być — myślę se. — Ale tańczę dalej. A Jewka w tańcu do mnie:

— Młodość was oznosi!

— Bom przy radości! — powiadam.

— Tańczyłabym, tańcowała do rana, do rana — śpiewnie wywiedła zaś ona.

Oblał mie gorąc.

— Choćby i do śmierci! — klasnąłem w ręce.

I nie wiem, coby to było i do czego byłby nas przywiódł ten taniec i jakoby się było i to wesele zweseliło...

Alem dojrzał przy oknie zielonego Głobisia... Za nim stał rozradowany Pabiś i mrugał to na mnie, to na Jewkę, to na mnie, to na Jewkę... I tak mrugał, przymrugiwał i domrugiwał, że wszystkie złości mną zatrzęsły, nie skończyłem tańca, porwałem serdak z ławy i pogałem w noc, w pola, przed oczy...

— Mrugacz zatracony...

## JARMARK.

### I.

— Jedziemy na jarmark, Wojciechu?

— E tam, po jarmarkach jeździł! Co tam najarmarczę? — I Wojciech splunął, aż się rozległo; jakby chciał przypieczętować to, co powiedział. — Nie jadę nika — dodał po chwili, nie przerywając układania gontów pod ścianą. — Do reszty — spojrzał na kumotra Końdziarę, spartego o płot i dodał, jakby od niechcienia — do reszty... roboty zawsze huk. Chyba, żeby się co z pogodą pomąciło...

— Dyć też to mam na myśli — przyświadczył Kondziara. — Ono cosi zanadto przypieka...

— Przypieka — kiwnął głową Stafiera. — Tak przypieka, jak łońskiego roku na Świątki. Jak potem przyszła bieda...

— No, no! Jej, co to za zlewa była! I trzymało tak cosi z tydzień.

— Dziewięć dni. Wpisałem do kalendarza. Okrągłe dziewięć dni. Dziesiątego dnia słońko wybrało się na niebo, jak dziewczka do ślubu.



— E, wy to już macie tę pamięć. Ale gajdu-bajdu, a robota sama się nie zrobi...

— Dyć zelżyjcie!

Stafiera podszedł z obejścia ku drodze.

— A wy jedziecie?

— Dyćby się pojechało, bo to i po wieśnie i trzaby zaś popatrzeć i na to i na owo, pomiarkować ceny, nale Bóg-że raczy wiedzieć, jak ta zaś moja wywiedzie. Ty poganiasz, baba jedzie — zaśmiał się Końdziara szeroko. — A trzaby koniecznie zajrzeć...

— Przydałoby się — dodał Stafiera. — I ja tu już wiesnę pokończył, nale Bóg-że raczy wiedzieć, jak ta zaś i moja...

— No, to jedziemy! — hałaśliwie zawyro-  
kował Końdziara.

— Ejści-by się pojechało...

— E kany? — rozległo się nagle kaśliwe pytanie Stafierowej, przysłuchującej się z okienka rozmowie gazdów.

Końdziara poprawił ino twardy kłobuk na głowie i jakby nigdy nic — śmignął szybko koło Stafierowego obejścia ku górze. Stafiera spojrział ku oknu, odwrócił się, wyjął z kabata fajkę i próbował zaćmić. Ale fajka miała też swój rozum. Czy tabak był za mocno w ślinie ubity, czy ogień trafił na jakie sęczysko, dość, że ani dudę o zakurzeniu. A Stafierka, jak nie Stafierka. Jakby ją osa ucięła. Rozpuściła język na dobre.

— Kany to jedzicie?! — powtórzyła chyba z dziesiąty raz.

— Do Rzymu! — wypalił wreszcie gazda. — Nie wiesz, ka sie w poniedziałki jeździ?

— Już cie znowu niesie? Dawno cie tam nie widzieli?

— Dawno! Święta Leluja! Jej nie poniesie.

— Cobyś se zapamiętał, nika nie pojedziesz.

— No! — roześmiał się gazda na całe obejście — toś mi przykazała! Teraz już pewnie nie pojedę. Aż mnie mrówki przeszły, takem sie zląkł.

Gaździna zamknęła okienko, aż domem zatrzęsło.

Stafiera podszedł ku jacie i usiadł na pniaku.

— Hm, dopiero sobota. A ka tu jeszcze niedziela, ka poniedziałek — dumal. — Co ją tak ugryzło? Ale i Końdziara krowa. Jak ryknie, to cała wieś na nogach. Ja do niego, jak człek do człeka, gazda do gazdy, ale on tak nie może: on musi przewrócić oczyska, mlasnąć ozorem, kłapnąć mocno zębiskami i wyharkotać na cały głos: jedziemy! Jedź-że teraz sam, kiedyś taki mądry. Końdziara i Końdziara. Żadnego zmysłu, żadnego umiaru. Grule z kapustą i kapusta z grulami. Cud Pana Boga, ka sie takie chłopisko wzięło.

I kumoter Stafiera rozzłościł się na Końdziarę doimentu.

— Bo baba, jako baba — medytował — swoje wywieść musi. Prociwi sie wszystkimu, a w rzeczy ani sie spodzieje, kie zrobi to, co ty chcesz. Ale trza z nią opaternie. A ten rykoń musiał ryknąć: jedziemy! No to se teraz jedź.

Gazdę złości brały coraz większe.

— A cóż ja tu — za komornika, za pachółka, czy za gazdę? Bedziemy widzieli, kto tu pojedzie, a kto nie pojedzie. Ja nie pojedę? — zagadał głośno sam do siebie.

— Dyć ino jedź. Zaprzegaj konia zaraz, kiedy ci tak pilno — wymaściła mu żona z progu izby.

— Jak chodzi, jak ziandarzy! — obruszył się gazda. — Dyć tu już człek nawet mruknać nie może na swoim gazdostwie.

— Na swoim gazdostwie! Patrzcie go — zajazgotała gaździna. — Na swoim gazdostwie! A pocoś mnie tu wołał do tych pałaców i dworów? Dyć ja sie tu nie pchała. Mogłeś sie tu rozpierać sam po tych złotych i sreblach. Wodziło cie koło mojej biedy, jak opętańca. A ino Teresiu i Teresiu i Teresiu! Na swoim gazdostwie. Dyć i mnie tu nie podrzucili. Dyć i ja tu przyszłam z częścizną jaką-taką. I żebym nie ja, tobyś z torbami

w świat poszedł. Gazda Wójt, co pół powiatu przewójtował!

— Stafierę aż przekręciło. Już conieco żałował, że napomknął o tem „swojem gazdostwie“, jużby się był pewnie zaczął wykręcać z tych słów, możeby był nawet podszedł do Teresi i rozplątał ciepłym słowem tę nagłą i niespodzianą kłótnię, gdyby mu była nie wypomniała najdrażliwszej bolączki, nieszczęsnego wójtostwa.

— Do izby! — huknął wściekły.

— Idź sobie sam, ja mam robotę w polu — wyrwała mu się z rąk, zarzuciła koszyk na plecy i pognała w pole młodzieńczym, różnym krokiem.

Już miał gnać za nią. Już ruszył. Zawrócił jednak. Lecz znów poderwało go coś, by pędzić, dogonić ją, chwycić za ramiona i trząść, trząść, trząść tak, aby raz na zawsze wytrząść z niej tę nieznaną mu dotąd, okrutną jadowitość jej słów. Ale nie uszedł pięciu kroków i znów zawrócił. Nie, nie pójdzie. On się z nią porachuje i tak. Ho-ho, pierwszy raz w życiu, ale naprawdę, dokumentnie. Wyplaci ją do cna, rzetelnie. Ze wszystkiego, za wszystko. Porządek jakiś musi przecie być.

Ręce mu się trzęsły i latały dokoła głowy, jakby je osy cięły. Fajka podskakiwała mu w zębach, wpadała do ręki, do kieszeni, znów do zębów i znów do drugiej ręki i zpowrotem.

Jakaś niesamowita naremnicza miotała nim bezlitośnie. Nie widział nic. Zaćmiło go doznaku. Nie słyszał nic. Ino dzwonięcie, szum i świst w uszach. Słowa nie mógł wykrztusić. Nie przychodziło żadne. Co usta otworzył, to wydobywał się z nich tylko jakiś pokraczny bełkot.

W tem uniesieniu wpadł na boisko i jak długi runął na rozrzucony okłak siana.

## II.

— Pół powiatu przewójtował! Pół powiatu! A choćby i cały powiat, to moja sprawa. Osa.. Syczy, brzęczy, aż ukłuje. Jęzda! — sapał i syczał Stafiera, układając się na jednym, to na drugim boku. Ale i tak było źle i tak niedobrze. Zarył twarz w siano i stękał, jakby dźwigał całą stodołę. Ułożył się zaś nawznak i zarzucił ręce pod głowę. Źle. Poszukał fajki. Znów fajkę gdzieś poniosło. Wszystko się obróciło przeciw gaździe. — Przecieźby i tak tej fajki nie zapalił, bo nigdy na boisku nie pali, ale pogryzłby choć cybuch, pozuł ba-gi... Nie, niema jej, przepadła.

Stafiera usiadł. Fajka leżała w sianie u nóg. Była jeszcze gorąca. Gazda szybko przerzucił siano, niemal każdą trawkę z osobna przesiał przez palce. Dech mu zaparło. Całe gazdostwo mogło pójść z dymem. Cichcem, jakby

uchodząc przed samym sobą, wymknął się poza obejście, ku łączce, na której skraju leżały dwa zasobne składy budulca. Tam usiadł.

— Pół powiatu przewójtował! — sierdził się znowu. — Pół powiatu! Teresia wyliczyła. Teresia wszystko wie. Teresia..

I stanęły mu w zachodzie słońka — owe tak niedawne czasy wójtowskie. Od końca. Nie od początku, ba od końca. Żeby Teresia była górą. Ale Stafiera odsunął koniec i zagłębił się w początkach swego wójtowania. Miał wtedy parę koni i honor. Mówili doń „panie naczelniku“, „panie Stafiera“. A on dotykał palcem kapelusza i uśmiechał się. Karku nie zginał przed nikim. Ze starostą gadał tak, jak starosta z nim. Honornie. O wieś dbał. W urzędzie tyle mu stał bogacz, co i ostatnia dziadowina. Naród go chwalił. Pono się ta i odgiął nieco pod jego mocną osłoną. Sława rozumów jego przerosła sławę ojca i dziada, którzy też wójtowali kiedyś w Równi.

— Stafiera z Równi, hej! to wójt — chwiał głowami z podziwu naród podhalański. — Na posłaby się zdał..

I nadali djasi przyblęde. W mieście. Chłopina był nieduży, chuderlawy, skóra i kość. Gębusia szczupła, naciągnięta ruchliwą, czerwonawą od wiatru skórką. Z pod twardego, popaniatego kapelusza, sterczącego na samym czubku głowy spadało na niskie czoło

parę białawych kłaczków, a poniżej świdrowały sobie, skakały i latały malutkie, niebieskie, napół uśmiechnięte, napół płaczliwe oczka. Ubrane to było jakby z amerykańska. Czarny kabacik, długi prawie po kolana, jedna portka szersza, druga węższa, obie jednak czarno-biało-pasiaste. Na nogach potężne, żółte trzewiki naprawdę amerykańskie. Musiały być amerykańskie.

— Czy też to nie pan naczelnik Stafiera z Równi? — zagulgotało nagle to stworzonko.

— Stafiera. Wójt z Równi.

Mały człowieczek ujął swą główkę w obie flakowate, palczaste rączki i rozpromieniony jął się kolebać z radości w jedną i drugą stronę.

— To szczęście! To prawdziwe szczęście! Tak, tylko tak może wyglądać wójt z Równi. Nikogo się nie pytałem, na podstawie tylko pewnych napomknień, na podstawie, że się tak wyrażę... I nie omyliłem się. Witam, witam serdecznie. W imieniu swoim i... Ale musimy, panie wójcie, wejść gdzie na chwileczkę. Zrobi mi pan tę łaskę, koniecznie, pańdzieju, koniecznie...

— Łacniejby to było pogwarzyć, żebym i ja wiedział, ktoście i niby w jakiej rzeczy...

— To jest jasne, jak słońce. Oczywiście. Musimy tylko usiąść gdzieś, na boku, żeby móc swobodnie porozmawiać...

Było południe. Stali w rynku, przed składnicą powiatową. Wójt był zgrzany setnie, albowiem dzień był upalny i narodu moc. Czekał na żonę i na Końdziarów, aby wraz z nimi się ugościć. Sprzedał tęgiego wieprzka-karmika. Kupcy tańczyli koło niego, jak koło panny. Zapłacili dobrze. Toż to i przyczyna była do ochłody i wypitki. Ale ani Teresa ani Końdziarowie jakoś nie nadchodzili. Końdziarowie zawsze tak dudłają — mruczał gazda. Ale Teresa! Taka obrotna, taka żywa. Miała na sprzedaż z kopę jajek, dwa czy trzy wałki płótna, ze dwie kwarty masła i to wszystko. Dawno już powinna była nadejść. Ale baba babą, a Teresa stobabą. Pewnie poszła ku szmatkom. Nic wójt nie miał przeciw temu, żeby się stroiła (wójcina!) i dzieci nie puszczała za płot odartych, ale też nigdy nie mógł wymiarkować, dlaczego każdą szmatkę po sto razy oglądała, przykładała ku ręce, ku piersi, na głowę, gdzie ino mogła — mrużyła oczy, patrzała zbliżona, to znów zdaleka i potem odrzucała, a kupowała w ostatniej chwili dostrzeżoną. Raz tylko i to dawno poszedł z nią ku tym szmatkom i poprzysiągł sobie nie chodzić więcej. Ale, co prawda to prawda, rad był, kiedy znów coś nowego i niespodziewanego włożyła na siebie. Ubywało jej roków, oczy jej się śmiały, zgrabniała, zmieniała się docna. I znowu gadało mu coś i pikało wtedy



koło serca. Taka była. Toż to nie markocił bardzo, czekając na nią. Niechże se ta dogodzi — dumał. Ociągał się też i wykręcał namowom przybłądy. Ale plątak zatracony nie ustępował. Chwycił wójta za rękę i siłą ciągnął do szynku.

— Jeden kieliszeczek, jedną lampkę wina, albo co pan naczelnik pozwoli. Ważne sprawy, niecierpiące zwłoki sprawy! Jeden kieliszeczek i będzie zgoda — głaskał wójta po rękach, świdrował oczkami, robił kołowrotek ze zwinnego języczka, płaszczył się i wyprężał, prosił, błagał, wręcz napastował, niczem zgłodniałe, małe, kudłate a mokrawe psiątko. Niesposób było opędzić się przed tą wściubską, lepka natarczywością. Gazda uległ. Weszli do szynku.

— Na osobność, panie wójcie, na osobność! Człowieczek torował drogę, odgarniał stłoczonych koło szynkwasu i koło stołu ludzi na lewo i na prawo, znikał nagle i niespodzianie się zjawiał, nie przestając ani na chwilę gadać i wymachiwać straszliwie długimi, flaczastymi rączkami. Wójt uczuł się osaczonym ze wszystkich stron. Na powitalne okrzyki znajomych odpowiadał lekkim potrząśnięciem głowy i szedł dalej, prosto przed siebie, nie słysząc nic, nic nie widząc, jak zaczarowany. Usiedli wreszcie w kącie ostatniej, małej, dusznej izdebki. Byli sami. Na stole zjawiała

się wódka. Wójt zażądał chleba, człeczek dorzucił: i kiełbasy!

— Za pomyślność, panie naczelniku!

— Daj Boże!

Wypili po kieliszku.

— No... mieliście mi, panie, cosi powiedziec — przypiekła gazdę ciekawość.

— Pokrzepmy się, mamy czas.

Wypili znów po kieliszku.

— Moja tam pewnie czeka przed składnicą...

— Nie czeka. Już się zgniewała i lata, jak oparzona, po całym rynku. Kobieta nie ustoi pięciu minut w jednym miejscu. Marja Terezja cesarka...

Wójta poderwało. Chciał iść szukać Teresi i sprowadzić ją tutaj. Chodziło mu i o Końdziarów. To po dziadowsku tak porobić — umówić się i nie czekać. Już się uniósł, chcąc wyjść z za stołu, ale zaplątał mu się pod rękę kieliszek i — wypił.

— Stafierę znają wszyscy. Wójta Stafieri z Równi nie znają? Stafieri Wojtka? Cóżby to zaś było... Kto go nie zna? — dziwował się okrutnie mały człowieczek. — Znajdą nas nie ino tu, ale żebyśmy się i w piwnicy ukryli. Juści nie skrony mnie. Ale skrony Stafieri...

Zaiście takie to proste i jasne. Że też to zawsze musi ktoś powiedziec, żeby dopiero wtedy uwierzyć w to, o czem się tak dobrze

wie. Juści, że znają go wszyscy. Kogóż mają znać w tymtu powiecie, jak nie jego — wójta z Równi. Uśmiechnął się sam do siebie, człeczynie zaś odbąknął:

— Dyc ta znają, bo znają ci-owi, ale ta zaś mogą nie uważyc i bieda gotowa.

— Nie zauważyć? Was? Czy ja was, panie naczelniku, widziałem kiedy? Nigdy! Raz tylko, co prawda niedawno — na pewnej bardzo ważnej naradzie mówiono o was obszerniej, nawet bardzo obszernie i bardzo szczegółowo... I kiedy mnie delegowano w te strony i właśnie na jarmark... zacząłem was szukać... Spostrzegłszy w rynku człowieka bujnego wzrostu, o twarzy wprost majestatycznej, o orlim nosie, spojrzeniu dumnym, ubranego w strój tradycyjny, jak przystało, odrazu sobie pomyślałem: to ten. Tak musi wyglądać człowiek, który się cieszy dobrze zasłużoną sławą, no i... który ma wspaniałą przyszłość przed sobą.

Gazda zajadał gorliwie chleb z kielbasą, przy ostatnich jednak słowach odsunął jedzenie i spojrzał uważnie na cudaka.

— Nie powiedzieliście mi, ktoście...

Człowieczek zerwał się z miejsca, prawą ręką uniósł wysoko w górę mały kapelusik i skłonił się nisko.

— Jan Podskubek jezdem, sekretarz wojewódzki, organizator i delegat najsilniejszej

partji chłopskiej, mąż zaufania i członek wielu zarządów licznych towarzystw chłopsko-gospodarczych, przyczem redaktor — korespondent naczelnego organu ze wszystkich miejsc, gdzie przybywam, przebywam i organizuję.

Stafiera chciał coś powiedzieć, o coś zapytać, lecz kieliszek dotykał już jego ust a równocześnie wniesiono dwa zacne kufle piwa. Uderzając kuflem o kufel wójta, Jan Podskubek ciągnął dalej:

— I właśnie jako taki, w charakterze pierwszym, drugim i trzecim i wogóle w każdym, w jakim tu stoję przed panem, szanowny i zacny panie naczelniku, mam dla pana szereg propozycji. Nie są to propozycje moje, choć conieco przyczyniłem się do ich zaistnienia, są one poprostu wspólne, nasze, chłopskie.

— E, nie patrzycie na chłopa — bąknął wójt.

— Mój wygląd jest taki, jaki musi być z wielu względów osobistych, partyjnych i wogóle społecznych.

— A Teresa czeka — jęknął znów gazda.

— Szanownej pani wójciny nie znam co-prawda, niema jej tu, a jednak mimo nieobecności pełno jej wszędzie — wycedził urażony nieco Jan Podskubek.

— A, pełno! — przytaknął wójt wesolo.

— Tak nie może być.

— Nie może być, ale będzie, bo ona taka... Będę ja miał piekło i piekielko, żem nie czekał.

— A więc krótko: czy chce pan być człowiekiem bogatym?

Stafiera przetarł oczy. Pytanie było mu skądś znane. Widział je wydrukowane przed oczyma. Dwoiło się i troiło, ale kupy się trzymało. Spojrzał na siedzącego przy nim obtargańca. Był w tej chwili podobny do pana z obrazka, pod którym wielkimi, tłustymi literami było wydrukowane: czy chce pan być człowiekiem bogatym? Stafiera zaśmiał się od ucha do ucha. Podskubek wyciągnął z zasmarowanej kamizeli złoty zegarek damski i podsunął go gaździe przed oczy.

— Mam pięć minut czasu na rozmowę z panem. Czeka mnie jeszcze kilka ważnych konferencji, a może ważniejszych od tej. Czy chce pan być posłem?

Posłem! Stafiera milczał. Jeszcze raz, choć już ukradkiem, obejrzał Podskubka. Co to za delegat taki? Lecz po zewnętrznym wyglądzie nikogo nie osądzisz — dumiał. Taki się umyślnie tak wystroi, na podrywkę. Pono i arcyksiąże Rudolf tak błądzi światami... Usadził się mocniej na ławce i spojrzał przed siebie, wdał.

— O pańskiej kandydaturze mówi się dużo w naszej partji...

Przebąkiwali o tem i chłopi. To prawda. Nawet poważni gazdowie i wójcia. I sam zadumał się nad tem parę razy. Ale pchać się po honory nie myślał, bo znał je z wędrownych lotek i gazetek dość dobrze. Być posłem, cudzołożcą, prezesem jakimś, rozwodnikiem, radcą tu a koniokradem tam, świętym nietykalnym na obrazku, a złodziejem, pijakiem i świnią pod obrazkiem — he! toby zaś za dużo naraz przygazdował. Wesolo i ucieszenie może jest grzebać patykami po śmietnikach, gazetkach, ale wygrzebać z nich własne zaplute i zapaskudzone nazwisko — słyszeć je z nienawiścią miotane na wiecach przez wędrownych grajków politycznych.

— Nie, panie sekretarzu, nie chęć być posłem, wolę być bogatym — wypalił nieomal radośnie.

— Bogatym! W takim razie musi pan zostać posłem.

Stafiera machnął ręką.

— Schodzą ta i posłowie na dziady...

— Niestety, pan się nie orientuje w sytuacji. Macha pan ręką, zamiast wyciągnąć ją przed siebie i pochwycić szczęśliwą, raz w życiu uśmiechającą się chwilę. Jest pan rolnikiem, a powinien pan być politykiem rolników. O! Politykiem zawodowym. Fachowym. Z sejmu do sejmu, a wkońcu do senatu. Wtedy i pańskie gospodarstwo się po-

mnoży i... wogóle... Zresztą powiat ten musimy opanować przez pana, musi być on nasz. Pan należy do nas i my rozporządzamy pańską osobą.

— Nie należę do nikogo — bronił się podpity wójt. — Do nikogo. Amen. Nikt nie śmie mną rządzić, chyba ten jeden rząd, a i to jeszcze opaternie... Amen.

Podskubek przylepił się mocniej do gazdy.

— Stary dzieciuch z szanownego wójta. Stary dzieciuch. Pan wie, jakie czasy przeżywamy? Okres przebudowy. Przebudowy — powtarzam. Kto się teraz nie zorientuje, przepadł. Z kretesem. Czas się ruszyć. Od siebie zacząć. Pociągnąć masy. Mieć masy za sobą, a potem i partja zatańczy, jak jej się zagra. Nie kiwną pana tak jak nieprzymierzając... No, głupstwo. Trza się rzucić do pracy. I to do podwójnej pracy. Do gospodarczej, przedewszystkiem do gospodarczej, a równocześnie i do politycznej. Aż do zjazdu powiatowego, który się odbędzie w najkrótszym czasie, będzie pan prezesem tymczasowego komitetu organizacyjnego. Taka jest wola posła Ryby, prezesa centrali. Co? Dziwi pana to nazwisko? A jednak tak jest. Z jego wołą musi się pan liczyć, inaczej przekreśliłby pan wszelką łączność z nami i wogóle z życiem publicznem. Nasza partja dąży do opanowania wszystkich placówek

życia gospodarczego i wogóle państwowego. Od dołu aż do góry. Organizacja walki musi być już obecnie należycie przygotowana. Wybory będą próbą ogniową naszej potęgi. Po zwycięstwie — my będziemy rządili tem państwem.

Stafiera przymrużył jedno oko. Zamknął w niem zjawę tych rządów. Ale że mu się przytem odbiło piwskim, nie rzekł nic, szep-tem jeno mamrotał:

— Dyć pięknie, pięknie... Cóżby nie...

— Wtedy i przed panem Stafierą z Równi niejedne drzwi się otworzą, niejedno krzesło podsunie się samo...

— Nie musi — bąknął gazda.

— Musi! Do tego zmierzają dziś wszystkie partje chłopskie, ale żadna z nich zwycięstwa nie osiągnie, bo żadna, prócz naszej, nie jest naprawdę chłopską. My jedni...

— Kto?

— My jedni wiemy, czego chcemy. My mamy program.

— Ej ta i ślachcice z dolin i panowie też coś kasi wymanią...

— Zmiecie ich nasza woła zwycięstwa.

— Kto ma większość, ten rządzi. Ale — powtarzam — trza się do roboty brać. Trzeba pracować i to pracować w dzień i w noc. Na trzy zmiany, po 24 godzin. Na zdrowie! —



Jako prezes i wójt, jesteś pan odrazu członkiem Wojewódzkiej Rady naszej partji i przynajmniej raz na rok musisz pan przyjechać na narady. Koniecznie. O ile wiem, proponują pana także na członka Zarządu Głównego.

— Kto? — kiwnął się wójt nad stołem.

— Będąc wysuniętym przez partję na tyle naczelných stanowisk, winien pan złożyć natychmiast dowody swej gorliwości. Chcemy się tu ugruntować przy pańskiej — jak wspomniałem — wydatnej współpracy. A więc: założymy filję naszej spółki „Białpol“ dla racjonalnego wywozu nabiału (jaja, jaja!) zagranicę, założymy filję spółki, obejmującej już wszystkie dzielnice Polski pod nazwą „Bykpol“ — dla wywozu bydła, a wkońcu — mówię to panu poufnie — musi pan poprzeć działalność pewnej potężnej firmy, której jestem zastępcą generalnym na Polskę — firmy emigracyjnej, zapewniającej dogodny i uczciwy, tani i t. d. wywóz ludzi na zarobki do Afryki...

— Jak tak wszystko zaczniemy wywozić, — chwiał się gazda — to po chłopsku rzecz biorąc, cholera tu zostanie...

— Polska ma nadmiar wszystkiego, brak jej tylko tęgiej, racjonalnej organizacji...

Stafiera spojrział ostatnim wysiłkiem przytomności na swego towarzysza i zatknął się śmiechem.

— Prawda jest. Nadmiar ma, ale.. — nie dokończył, bo Podskubek zalał mu gardło piwem.

— Zatem, pierwsze: organizować udziałowców do powyższych spółek i drugie: stać twardo przy programie partyjnym. Przy akcji emigracyjnej, zwłaszcza afrykańskiej i amerykańskiej, zapewniony dochód od głowy. Ale — to tylko między nami. Poufnie. Dalsze instrukcje nadejdą. A teraz adresy...

Gazda walczył bezradnie z opadającą go sennością. — Adresy! — powtórzył głośno Podskubek, szarpiąc wójta bez ceremonji za rękaw.

— Adresy? Jakie adresy?

— Wójtów, znaczniejszych w powiecie ludzi...

Stafiera nie zdając już sobie sprawy z niczego, wydławił z trudem nazwisko za nazwiskiem, wieś za wsią, wkońcu zwałił się całym ciężarem bezwładny na stół i twardo, głęboko zasnął. Zbudziło go zawodzenie Teresi. Z pół przytomności wyrwał go mocny głos Końdziary. Gaździna była przerażona, Końdziara powtarzał wkółko: cuda, cuda, co się porobiło. Sam pił, czy co. Wyprowadzili go, a właściwie wynieśli, rzucili na wóz jak worek ziemniaków i pojechali. Lejce trzymała Teresa.

W drodze gazda przyszedł nieco do siebie. Chłodny, majowy wiaterek dogadzał mu rzetelnie. Słońko już zaszło, kiedy stanęli na obejściu. Pierwsza wybiegła na próg Jadwisia, lecz zatrzymała się w pędzie. Młodszy Kubuś wlot pojął, co się stało. Pomógł ojcu zejść z wozu i zaprowadził go do izby, poczem powyprzęgał i sprzęt porozwieszał.

Dopiero w izbie zapytała Teresa o wieprzka. Sprzedał go. I jak sprzedał! Pieniądze... są pieniądze. Wyciągnął papierki na stół. Zabrzącało i srebra trochę. Są — są pieniądze. Z kim pił? Hoho, z kim, z kim. Fajne to hań panisko było. Dziada z wyglądu, bo dziada, ale w gębie, mojaś ty — tam ma porządek. Na głowie ma same ważne sprawy. Przyjedzie tu. Delegat z niego i sekretarz, dużo może. Jego, niby jako wójta z Równi odrazu pchnął na prezesa w powiecie. Od wyborów i od wywozu. Z wójta na prezesa, z prezesa na posła i — uwidzicie dzieci... Teres, zrachuj to. Teresa zrachowała. Wyliczyła sumę na głos. Mało. Kto płacił za pijatykę? Gazda nie wiedział. Pewni sekretarz. Ale coś brakuje. Niby niewiele, niewiele, ale jeszcze jedną — dwie takie pijatyki byłyby z tego. Brakuje. Brakowało istotnie. Teresa nic się jednak nie odezwała, żeby już nie robić piekła przy dzieciach.

Na drugi dzień Stafiera czuł się źle. Następnych dni jeszcze gorzej. Było mu wstydno i niewyraźnie. Zaplątał się w coś — a nie wiedział w co. Po głowie latały mu bezustannie całe sznury drobniutkich słówek, które naniżał ów człek-pokraka, Jan Podskubek. Nie była to ani przemowa, ani gazeta. Było to dziesięć mów naraz i dziesięć gazet chłopskich, równocześnie, od **a** do **z**, z hasłami i ogłoszeniami czytanych. Była to jakaś wędrowna, obtargana, przechytrzała, oślizgła nowinka. Pełzała za nim wszędzie, włąziła nań, parszywie kłula, ślizgała się po piersiach, niepokój szerząc w sercu, bruzdę tępych zamyśleń wyorując na czole. Gazda zaniemówił docna. Gdy przychodziła poczta do urzędu gminnego, rzucał się na nią gwałtownie. Nic jednak nie przynosiła, coby go mogło oświeżyć. Czuł, że połknął jakąś przynętę. A nie wiedział, kto dzierży w ręku niewidzialny sznureczek i kiedy nim szarpnie. Stękał i sapał. Unikał rozmów z sąsiadami, koło Teresi przechodził jak koło wielkiego ołtarza. Ona też milczała. Nie chciała wstydu rozbabrywać. Milczeli i Końdziarowie. Wieś nie bębniła jeszcze o swym wójcie...

Lecz djabeł tylko przykucnął. O jakie dwa tygodnie później, w sobotę, skoczył na wójta nagle, z całą piekielną zawziętością. Latawiec, jak nazywano poczciarza, był pierwszym

zwiastunem nieszczęścia. Zły, spocony, zziębnięty, przyniósł na plecach olbrzymi wór, wypchany listami i gazetami.

— Così sie święci, panie wójcie, bo i do okolicznych gmin — mówił — takie paki dziś nadeszły. Naczelnik poczty w mieście kłął, kopał te papierzyska, miętosił, ugniatał, nic nie pomagało, bo to rosło i rosło jak żywe. Niektórzy posłańcy nie chcieli tego brać. O małe do bitek nie doszło. Jak świat światem a poczta pocztą — takiej biedy nie było...

Wójt otworzył worek. Posypały się gazety, gazety i gazety, a potem całe stosy kartek i listów otwartych z napisem „druki“. Do wója była zaadresowana gruba koperta — gwałtownem zacządrana pismem. Otworzył ją. Szukał podpisu. Był podpis. Jan Podskubek. Podskubek. Do listu były dołączone listy drukowane. Dyrektor Sążeń. Prezes Filipek. Znowu dyrektor jakiś. Znowu prezes. Pod jednym drukiem Wojciech Stafiera, wójt z Równi. Czytał, pocił się, przecierał oczy. Nie! Tak nie było. Tak nie mówił, nie mówił, nie mówił tak! Nawet po pijaności tak nie mówił, przecie się zna. Listu takiego nie pisał, nie kazał drukować, nie prosił o rozesłanie.

Wyrzucił posłańca za drzwi. Zamknął się na klucz. Porwał do ręki gazetę. „Walka.“ Wielkie, potężne, ryczące tytuły, syczące i świszczące wykrzykniki, złowieszcze, za-

darte groźne pytajniki. Podskubka niema nigdzie. Są jacyś inni, ale tacy sami. Litery skaczą tu i tam, wyginają się tłuścieją, to znów chudną, wiążą się w czarne łańcuchy grozy, to znowu w sznureczki płaczących kłopotów i biedek. Potem ataki. Na lewo i na prawo. Dookoła. „Walka.“ I nagle — na czwartej stronie u góry — zamieć:

Wojciech Stafiera, wójt z Równi, wprowadza tysiące ludu okolicznego do naszego stronnictwa!

Zaschło mu w gardle, literki pomieszały się w oczach, gazetka wyszczerzyła jakieś podziurawione, zjełczałe kielki... Odbyło się olbrzymie zgromadzenie. On przewodniczył. Wszystkie uchwały przeszły jednogłośnie. Jednogłośnie, jednogłośnie — powtarzał sobie gazda nieprzytomnie. Tak, jednogłośnie. Wybrano go prezesem Komitetu Organizacyjnego. Delegowano do wszystkich organizacji gospodarczych. Jednogłośnie. Do Komitetu weszli nadto słynni na całą okolicę, wytrawni działacze, jak Pawluś, Mika, Twardy, Kubica, Gadeja, Końdziara i t. d. i t. d., nadto wójcia i przysiężni z wielu gmin. Nieopisany zapał. Wspaniałe organizacje gospodarcze, jak „Białopol“, „Drzewo“, „Bykpol“ natychmiast podjęły ożywioną działalność. Wobec powszechnego zapału przewidziane jest założenie szeregu organizacji gospodarczych, uwzględnia-

jących w pierwszym rzędzie specjalne potrzeby lokalne. I podpis. Jako przewodniczący: Wojciech Stafiera, wójt z Równi. Dodano jego apel do chłopów, aby nadesłane im druki natychmiast wypełniali, wpłacali udziały, bo w organizacji ekonomicznej siła i potęga ludu — a w razie jakichkolwiek nieporozumień zwracali się po wyjaśnienia tylko do niego, do Stafieri, wójta z Równi. Pod tym apelem pysznił się jeszcze drobniutkimi, pochylami literkami dopisek redakcji, wskazujący Stafierę jako wzór uświadomionego chłopca, umiającego walczyć w obronie ludu i t. d. Gazda zajrzał zpowrotem do listów. Jan Podskubek przesyłał serdeczne pozdrowienie ludowe. Nic więcej. Dyrektor Sazeń zachwalał „Białpol“, prezes Radecki znalazł rozwiązanie wielu bolączek chłopskich w eksporcie drzewa „Drzewo“, jakiś znów Ćwiąkałek zestawiał masę cyfr, dotyczących bydła w Polsce i zalecał zainteresowanie się „Bykpołem“, który jest właśnie w kwitnącym stanie organizacyjnym. Wogóle wszystkie spółki powyższe wspominały oględnie o trudnych początkach i świetnych widokach na przyszłość. Wiara w przyszłość ożywiała wybitnie całą tę żywiolową akcję. Rzecz naturalna, potrzebne było poparcie szerokich mas. Wspominano przeto i podkreślano grubemi kreskami, że kapitał chłopski powinien się samorzutnie loko-

wać w tego rodzaju spółkach chłopskich. „Jeśli pieniądz chłopski nie wpłynie do organizacyj chłopskich, to niepostrzeżenie wsiąknie do przedsiębiorstw geszefciarzy i wrogów ludu i obróci się przeciw temu ludowi.“ Baczność zatem. Do pracy i t. d.

Gazda zatoczył się i runął na ławę. Co począć? Gdzie iść po radę? Jak się ratować? Kogo i gdzie skarżyć? Przyszło mu na myśl, że możnaby jeszcze te listy i gazety spalić. Ale nadeszły przecież i do innych wsi. Do reszty — to przecie poczta. Urzędowa rzecz!

W niedzielę zawrzało w Równi i okolicy. Najpierw po sumie — cisza. Na nieszpory poszli ino dziadkowie i dzieci. Gazdowie radzili między chałupami. Rozległ się wreszcie pierwszy grzmot. Przyleciał z rozdartym pyskiem przysiężny. Potem zerwała się gwałtowna burza. Pół wsi zwałiło się przed dom Stafierów. To wójt? To Stafiera? Rok wójtował i już nas przewójtował! Pół wsi pójdzie na dziady! — trzęśli się gniewem chłopi. O Jezus, Marja! — piszczwały i labiedziły baby. A równocześnie nadbiegali ludzie z wsi okolicznych — zadyszani, spoceni, zziajani. Co to za pisma? Co to za deklarunki? Co my to mamy płacić?! — krzyczeli. — Komu? Za co? Jakiście wy to prezes? Komuście nas zaprzędali? Wójt z Równi! — szydzili. — Rok wójtował i pół powiatu przewójtował!



— O Jezus, Marja! — zawodziły baby bez końca.

Istne piekło buchało wyciem i rykiem. Naród walił się, parł na stare domostwo, przez ojca Stafiery, również wójta ongi postawione, łamał płot, chciał roznieść wszystko. Kurczył się gazda, łamał się w dziesięcioro, w sto, w tysiąc, w nic — latał z izby do sieni, z sieni do izby, a Teresa — za nim, za nim, za nim. Aż go chwyciła, ujęła jego głowę w ręce i spojrzała mu w oczy, ale tak jak nigdy dotąd, jak nigdy.... I takimi oczyma, jakich nie miała dotąd...

— Coś ty porobił? — jęknęła.

— Nic. Nic. Przysięgam Bogu... To kłamstwo. To podrywka...

Już tam co powiedzieć, to powiedzieć o Teresi, ale zaś miała go za co. Wiedziała, że był rzetelny. Toż to wyszła z nim śmiało przed izbę.

— Ludzie, dyć to podrywka — wydusił z siebie. — Ja z tem nie mam nic...

— Końdziara zaświadczy! — uderzyła się w piersi i Teresa.

— Podrywka jest, polityka i podrywka — twardo gruchnął w tłum Końdziara. — Prawdę mówi wójt — dodał po chwili, chcąc jeszcze coś przepowiedzieć, ale uważył, że słowa go zawodzą, więc tylko ręką potwierdził przemowę i cofnął się.

— Wójt sie dał wywieść? Co to za wójt?!  
Dość takiego wójta!

— Dość! — gruchnęło wśród narodu.

Wtedy zmięty docna, wstydem oblany, zgarbiony od bólu Stafiera zawiadomił:

— Składam wójtostwo. Radę zwołam i złożę...

Po tłumie przeleciał szmer niepokoju. Ucieknie. Ucieknie w świat. Szukaj potem wiatru w polu. A tu naśle panów i łazęgów i płąć jeszcze za niego. Nie wypuszczać go z ręki! Ucieknie! Ucieknie w świat!

— Ja tu ręczę za niego — huknął znowu Końdziara.

— I ja — odął wargi i zadarł siwą głowę Dusza.

— I ja — przyłożył stary wójt Zachemski.

— I my! — hyrnie dołączyli się bogacze tacy, jak Cyrwus, Kubica, Chraca i Łopata.

Uciszyło się nieco, albowiem ręczyciele byli stanu równego Stafierze. Ręczyli zaś publicznie, wobec wielu świadków. Baby stłumiły jajdanie, chłopci co szanowniejsi zaczęli się rozchodzić. Chraść wszelka i gawiedź pospolita płatała się jednak dalej koło obejścia. Dopiero zmierzch ją rozgonił do domów. Wieczorem odbyło się posiedzenie Rady gminnej. Stafiera opowiedział wszystko, jak i co było i złożył urząd wójta, coby zaś nikt nie myślał, że wójtostwem handluje albo na pośmiech je

naraża. Rozwinęły się burzliwe narady. Choć wójt zapewniał, że do żadnej parfji nie należał i nie należy, radni, którzy zwłaszcza liznęli już polityki, nie dawali się w pole wywieść. Jak było, tak było, było niewyraźnie. Zgodliwości nie osiągnięto. Wszelako i wyraźnej uchwały co do ustąpienia wójta też nie powzięto.

— Sprawa ma iść do Starostwa. Do czasu jego rezolucji niech rządzi podwójci. Ale pieczętki i papiery mają zostać u Stafiery.

Takie stanowisko zajęli hrubi gazdowie. Biedota domagała się rozwiązania Rady, oskarżenia wójta przed sądem, wyrzucenia z pastwisk gminnych wszystkich, mających ponad dziesięć morgów ziemi i t. d. i t. d. Koło północy jednym głosem większości zwyciężył pogląd hrubych gazdów.

Przyszły dni za długie i za męczące. W izbach cicho, jakby makiem posiał. Teresa milczała. Dzieci (a Jadwisia już dorastająca) przywiedły. Uciekły w świat z obejścia śmiechy i uciechy. Gazda chwytął się roboty za robotę, byle na chwilę nie spocząć. Omijał drogi, na którychby mógł spotkać sąsiadów, wymykał się z pod spojrzeń żony i dzieci. Ale Teresa była Teresią. Zaczęła mu dogadzać w jedzeniu, odrywać go od roboty, przynęcać ku sobie. Przegadał do niej raz i drugi — o niczem. Tak ino. Ale raz wyrwała mu się

z piersi skarga. Odezwała się doń tak miękko, tak przytulnie... Zakręciły mu się łzy w oczach. A ona w sieni, na oczach dzieci, czego nigdy dotąd nie było, przygarnęła się mocno ku niemu, objęła go przymilnie...

— Jedyć sie nie gryź tyle — wyłkała.

Głęboki, głuchy płacz wstrząsnął jego piersią. Zatargał nią, zadzwonił w głębi, runął siłą ku gardłu, parł wichrem. Ogromne, jak groch, łzy posypały się gęsto po jego spalonej, szerokiej twarzy. Lecz męsko ujął wolą rozczulenie i tylko mocno, długo, tak z dna uczucia, jak nie wiedział, że można — tak ją przytulił ku sobie i twardą dłonią gładził nieśmiało i niezgrabnie po główce płowej i ramionkach miłych.

Dzieci zaś odwróciły się każde w inną stronę.

— Prawda, prawda! — westchnął głęboko, budząc się niejako z tego setnego chyba roz-pamiętywania. — Teresa wie, co mówi. Nie jadę nika. Na żadne jarmarki. Odbyłem już wszystkie. Wszystkie! Ino, że mi z tem wójtostwem tak przypiekła... Pierwszy raz! — bolał coraz spokojniej. — Nie, nie pojedę.. Ino, co sie porobiło, że mi tak dojadła... Pół powiatu przewójtował! Pół powiatu! — a przecie wie, że m pchły z gminy, a cóż dopiero z powiatu nie ruszył... Ale — nie jadę!

I znów stanęły mu przed oczyma gazety. Te późniejsze już, rozmaite. Jak młóciły po nim. W jednej był księżo-pańskim pacholkiem, w drugiej bolszewikiem, w trzeciej bandytą. A usłudni ludkowie znosili mu wszystkie. Gazetki te wiedziały o nim dużo i to takich rzeczy, od pisania których wzdrygało się pióro. A on siedział cichutko w Równi i czekał niecierpliwie, kiedy ta nawałnica przejdzie.

— Nie, nie jadę nika! — utwierdził się mocno w swem postanowieniu.

### III.

Stafiera przewlókł się znowu na próg boiska. Sapał jeszcze i stękał, ale bez złości, z żalnością jeno w sercu. Spojrzał za potoczek. W zachodzącym słońku, w złoto-miedzianym odbłasku, wśród czerstwej, bujnej zieleni pola widno było Teresię, schyloną ku ziemi. Pracowała tam pilnie. Gdy podnosiła się, lub przechylała w tę czy inną stronę — wydawało się, że to wiatr chwieje dużym słonecznikiem, tak złociła się w słońku chustka na jej głowie. Co pewien czas spoglądała dłużej i uważniej ku obejściu. Markotno jej było. Przesoliła. Przesoliła i przypiekła. Do głupoty ludzkiej dodała swoją. Opętało ją coś, poniosło, oćmiło. Nie było w domu kłopotu, to go narobiła. Mogło ta dalej być tak jak było. Mogli mu tam do-

kuczać ludzie bez niej. Serce ścisnęło jej się od żalu. I dzieci. I to nie drobiazg, ba prawie młódź... Zaczną się teraz — przy nich — zwały i piekła. Będzie tylko wstyd i zgorzienie. A przecie nigdzie chyba nie było tak, jak pod tym rozłożystym dachem, który ocieniają pachnące lipy i jawory poszumne. Tak tam było ciepło i dobrze. Wszyscy pod tą strzechą dostatnią byli sobie jednacy. Po robocie, po ciężkiej nieraz robocie — jakże te ściany szerokie a grube trzęsły się od śmiechu. Z byle czego. Bo oni wszyscy tak potrafili. Ojciec bajczył dzieciom, dzieci ojcu, ona dokładała i radość była gotowa. Już światło zgasili, już sen ich zmorzył, a jeszcze któreś tam zagulgotało zduszonym śmiechem. Najczęściej zaś ona, Teresa. I wtedy wszyscy wybuchali śmiechem jeszcze raz.

— Spać! Wezmę kija i bede bił — huknął czasem ojciec — bede nim bił... o ścianę!

Jeszcze jedna, pożegnalna, powszechna palba śmiechu i sen zamykał oczy wszystkim równocześnie. Tak było, tak było — tkliwie wspominała gaździna. Od onego zaś czasu... Od dzisiaj zaś... Teresa przestała plewić. Wyszła z pomiędzy grząd kapusty, marchwi i karpielei i ruszyła chyżo ku chałupie.

— Pojedziemy. Sama mu powiem. Niech sie robi, co chce. Pojedziemy.

Stafiera wyszedł przed nią. Szedł powoli, z rękami założonemi na krzyżach, rozglądając się po zasiewach, jakby to był taki sobie zwykły odwieczny sobotni po wszystkich robotach. Spotkali się na wąskiej miedzy, nieprecz od domu.

— Ejści — wybąkał gazda pierwszy — ejści.., ono mi tak już wypada.., nie ruszać się z chałupy. Mogłaś mi ta, choć przy Końdziarze, nie dopalać tyle...

— Nie pleć, pleciugo... Jedziemy — cóż nie mamy jechać? — miękko zagadała Teresa.

Gazda spojrział na nią uważnie.

— Nie jadę nika — powtórzył swe postanowienie.

— To ci narobię wstydu i pojedę sama. Dopiero się wtedy puszcza języki.

— Nie. Na żaden jarmark więcej.

— Do poniedziałku daleko. Dźwigaj koszyk, nie oraj babą, bo masz jedną.

Gazda wziął koszyk na ramię i zawrócił. Nic nie rozumiał. Nic nie rozumiał i potem, przy wieczerzy, kiedy Teresa jęła z Jadwisią stroić śmiechy i chichy, a Kubuś, trzymający stronę ojca, na niego ino spozierał uważnie i uśmiechał się tylko za jego uśmiechem. Niedziela zeszła na kościele i opaterynych pogwarkach sąsiedzkich. Nikt nie wspominał nic o jarmarku.

## IV.

Gazda spał jeszcze, kiedy Teresia z Jadwisią już podoiły, a Kubaś konie nakarmił i wyciągnął brykę z wozowni. Dzień był nad dniami. Bujne trawy za obejściem kwieciły się, srebrzyły i płonęły pod gęstą, obfitą rosą, zboża aż pociemniały od napęczniałej, radosnej chuci życia. Rzeźkość szła zewsząd — od słońca, co się wyjawilo nad dalą daleką, od gór, co czerniały potężnie w omglonym chłodzie błękitów, od czarnych lasów, co się upojnie splątały z jasno-zieloną swą młodzią. Już się odezwały gromkie hukania pasterskie, już rozdzierały ciszę oszałamiające wyskania młodych dziewcząt, już wstało, już jęło się pracy — życie, słoneczne życie...

— Jedziemy!

— Nie wiecie, z czem? — zachichotała Jadwisia.

— Zapytaj się paco? — dodał rozważnie Kubaś, który zmiarkował, że ojciec nie ma woli jechać.

— Na jarmark — huknęła im matka wesoło. — Budź ojca, parskula..

Jadwisia skoczyła do izby. Ojciec wstał już, coprawda, ale siedział nieubrany na krawędzi łóżka i medytował, jak to zwyczajnie przy poniedziałku, na cały tydzień.



— Tatuśku, Kubuś już zaprzęga — przesadziła.

— Kto mu kazał? Poco?

— Mamuśka.

Już miał powiedzieć „nie jadę nika“, ale czem prędzej wsadził fajkę do gęby. Lepiej ją zakołkować — pomyślał — niżliby miała znowu co nakalikować.

— Trzebaby do Końdziarów skoczyć — bąknął odniechceni.

— Jada. Jasiek tu był.

— E, ileż to tych godzin, żeście tu już tyle użyli? Już podoiły, Kubuś zaprzęga, Jasiek też był... Ten Jasiek Końdziarów — dodał po chwili gazda — on musi tu chyba wartować koło nas. Dyc pięknie. Gazda może se dłużej pospać, kiedy warta stoi...

Jadwisia ściągnęła szybko chustkę z głowy na twarz. Chciała uciec do sieni, ale weszła akurat matka. Nie minęło ćwierć godziny, a śniadanie już się dymiło na misce. I jakie! Kwaśnica z ziemniakami na baraninie z beczki. Sama woń tej rodowitej potrawy podhalańskiej tańczyła radośnie po wnętrzościach gazdy. Obmył się też czem prędzej, włożył kerpce, odchrząknął silnie, przeżegnał się i zasiadł do biesiady. Nie przeciwiłby się teraz niczemu. Łyżki, pomimo całej ponętności jadała, znały swój porządek, nie skakały po misce bezładnie, nie zawadzały jedna drugiej.

Pierwszy nabierał ojciec, potem matka, potem Jadwisia, Kubuś jej tam tylko od czasu do czasu skoczył pośpiesznie w kolejkę. Jedli rzetelnie. Powstawszy od jedzenia, czuli się wszyscy radzi.

— No i... — gazda znów miał coś powiedzieć, ale raz — dwa włożył fajkę do gęby.

— Zaprzęgaj, Kubuś — przynagłała gazdzina.

— Dyc przecie — gazda rozłożył ręce szeroko.

— Co przecie? Zbieraj się i nie stękaj...

Gazda poskrobał się po głowie i znów coś bąknął pod nosem, ale ta ino tak, do siebie. Żeby zaś Jadwisia i Kubuś wiedzieli, kto tu gazdą i kto tu naprawdę rozkazuje, musieli wysłuchać różnych poleceń jego, wypowiedzianych głosem podniesionym.

— Cobyście se pamiętali — kończył. — Nie latać po próżnicy, nie daremnikować, chałupy pilnować i...

Pojechali...

## V.

Jarmark był tęgi. Naród zgruchnął do swej stolicy górskiej z najobdalniejszych stron. Jak po wieśnie, to po wieśnie. Od koszar wojskowych przy drodze Ludzimierskiej, od pagórza św. Anny, od Szaflar, od stacji kolejowej —

zawszad ciągnęło nieprzejrzane mrowie ludu, zapamiętałe gadającego i honornie gestykulującego. A równocześnie przepychały się długie łańcuchy fur i bryczek, między niemi zaś porykiwały krowy i cielęta, kwiczały spaśne świnię, pobekiwały kózki i owce. Słońce przygrzewało setnie, rzeźki wiaterek chłodził zaś rzetelnie. Ludzie, rzadko widujący się w tak mnogiej rzeszy, radzi oglądali się wzajemnie, kiwali sobie głowami, uśmiechali się dobrotliwie, okrzykami, wyrzutami rąk pozdrawiali się i witali, przyczem natychmiast kierowali wzrok na konie. Po koniach szacowali wzajem swą honorność. Stafiera — bez bicia w ręce — cichem sykaniem, niedostrzegalnem pociągnięciem lejców, krótkimi, urywanemi słowy zachęcał konie swe do paradnego kroku, załamywania karków, wyrzucania łbów w górę, strzyżenia uszami i krzepkiego parskania. Konie były gaździe posłuszne, jak nigdy. Zachwycaly też Podhalańców nie opasłością i ciężkim dosytem, ale zadowoloną lekkością, przemyślnym układem, doista jednaka maścią i wrodzoną dumą końską. Dobry gazda — oblizywali się chłopię. Ale ta i Kubuś niezły — uśmiechał się Stafiera do siebie, bowiem oporządek koni dawno już złożył na syna.

Wjechali w środek miasta. Gwar, zgiełk i szum był taki, że samego siebie trudno było

słyszeć. Boczne, wąskie uliczki były do połowy zawałone wozami, w Rynku zaś, jako też przed Sokołem oraz na targowiskach bydłych nie było gdzie palca wściubić, a nie to, Boże, przystanąć z wozem i końmi. Ale Stafiera miał w tem-tu mieście swoje znajomości, przyjaźnie, a nawet dalsze krewieństwa. Z trudem przepchał się przed piętrowy dom Rajskich, gdzie brama sama prawie się otworzyła i wjechał śleobodnie na obszerny, kamienny dziedziniec. To samo zrobił Końdziara, który zdaleka trzymał się okiem Stafierę. Babiny przywitały się pięknie, gazdowie pożartowali z nimi, zaczem konie oddali w opiekę pachołka Rajskich i gromadką ruszyli wmieszać się w zgiełk jarmarku.

Przed domem Końdziarowie się odłączyli. Pilno im było pozałatwiać sprawunki, a zwłaszcza, jakby się dało przykupić niedrogo wieprzusia. Umówili się jeszcze na odchodnem, że wedle pierwszej w południe przyjdą „na róg“ (do Krzeptowskiego) i tam jedni na drugich zaczekają. Stafiera, starym obyczajem, radby był zajrzeć na koński rynek, a potem ku bydłu. Pozazierać ino, popatrzeć, co ta zaś ludzie przywiedli i pomiarkować ceny. Myślał, że Teresa pójdzie zaś swoją drogą. Ale Teresa nie brała się odejść od niego.

— Idę ku koniom — przystanął gazda.

— Pójdziemy razem — odrzekła gazdźcina spokojnie.

— Ku koniom?

— A cóż to konie... Dyć i ja popatrzę.

Gazdę to ubodło. Konie — konie... Ale konie nie babska rzecz. Jeszcze też na koński rynek żaden jaki-taki gazda nie chodził z babą.

— To może naprzód rzucimy okiem na krowy? — odął się nieco.

— Dyć krowy też boskie stworzenia — wypaliła Teresa.

Już — już miał jej odpalić, lecz poprawił tylko kapelusz na głowie i obejrzał się za siebie. Minęli właśnie grupkę nieznanym mu chłopów, którzy pokazywali go sobie.

— Ten, ten! — onaczył jeden z nich. — Do niego, jak w dym. Przecie prezes...

I podeszli do niego. Że niby wszystko wiedzą. Ho-jej, jak wiedzą. I gazdźcinę znają. Kogożby tu kto znał, jak nie Stafierów. Ale oni mają taki poplątany interes. Zalała ich woda łońskiego roku i patrzy im się wspomoga. Rząd jako rząd. Cosi ta plakatuje, spisuje, zapowiada i przypowiada, ale oni z tego nic nie widzą. Pewnie się bogacze pomaścili, a dla nich, dla biedoty już brakło na jakie-takie wsparcie. Gdyby to pan prezes, niby Stafiera, napisał tam, do Sejmu, do tego głównego prezesa, to przecie musiałby się odezwać i wspomogę przysłać. Oniby się poznali na tem. Nic

tu niema darmo na tym świecie. Umieliby wy-  
nadgrodzić. Oni przecie zawsze do jego partji  
należeli. Stafiera odchrząknął i — nie wiedząc,  
co począć — wypytał ich, skąd są, co za jedni,  
czy była jaka komisja, a wkońcu dodał opa-  
ternie, że o tem pomyśli. Nawet się nie spo-  
strzegł, jak mu to powiedzenie przyszło. Tak.  
Pomyśli o tem. Kiedy odpowiedź? Pomyśli  
o tem, pomyśli. Nie skończył jeszcze z tymi,  
a już podskoczył ku niemu jakiś panek o gło-  
wie, podobnej do żółtej gruszki i skłonił się  
niziutko.

-- Sługa pana prezesa! Załatwiliśmy, za-  
łatwiliśmy już. Nie zatwierdziliśmy pańskiej  
rezygnacji. Pan starosta odesłał w sobotę sto-  
sowne pismo do Równi.

Stafiera przypomniał sobie tę gruszkę. Pi-  
sarz ze starostwa. Nie wiedział dotąd, że to  
taki miły człowiek.

— Pan prezes wstąpi do nas? Trzeba ko-  
niecznie. Pan starosta ze względów politycz-  
nych, ze względu na dobro ogólne, nie ulega-  
jąc żadnym naciskom pobocznym, a były ta-  
kie, były, panie prezesie — utrzymał s t a t u s  
q u o.

Status quo! Stafiera rad był z nowiny. Po-  
krzepiła ona i Teresię. Już chciał zaprosić pi-  
sarza na kieliszek, gdy wdarli się pomiędzy  
nich dwaj bardzo eleganccy panowie.

— Czy pan prezes Stafiera? — zapytali równocześnie.

— Wójt z Równi jestem.

— Właśnie mamy do pana sprawę... poufną.

„Gruszka“, widząc, że uroczystość wdzięczności musi wójt odłożyć, skłonił się znów niziutko i odszedł. Panowie proponowali wejść do jakiejś restauracji. Ale Teresa zrobiła straszny gwałt, że cały jarmark zmarnują i nic nie kupią, wobec czego dwaj eleganccy panowie postanowili wyłuszczyć swą sprawę poufną na ulicy. Jeden z nich był niesprawiedliwie zredukowanym urzędnikiem skarbowym, drugi zaś — niewiadomo, dlaczego i za co — usuniętym nagle z innej jakiejś posady rządowej. Obaj są bezwzględnyimi zwolennikami Stafierzy. Ponieważ zaś partja ta jest w słusznej opozycji do rządu, więc interwencja jej na rzecz pokrzywdzonych byłaby niezawodnie skuteczna. Obiecali pracować całe życie tylko dla tej partji, byle...

Wójt poprawił kapelusz na głowie i przyobiegał pomyśleć o tem. Tak. Pomyśli o tem.

Podziękowali i odeszli. Stafiera spojrział na Teresię zgóry.

— Widzisz ty, co sie dzieje?

— Widzę. Obskakują cie wszystkie haładrygi. Nie dojdziemy dziś ku tym koniom.

Przyśpieszyli kroku. Ba! Zastąpili im drogę inni znów spółobywatele, którzy starali się o większe pożyczki rządowe na „rozbudowę“. Bez poparcia posłów tam, w Warszawie, nic się nie da zrobić. Gdyby więc Staffiera napisał tam, do tych posłów, to wszystko poszłoby, jak z płatka. Dobrze. Pomyśli. I tak co chwila obiecywał komuś, że o czemś pomyśli. Aż wreszcie i zaniepokoił się nieco, czy zaś mimowoli nie gmatwa się w jakąś nową podrywkę. Lecz niepokój uleciał znów, gdy zbliżyli się doń dwaj jacyś wędrowni i po krótkiej przemowie wręczyli mu podania o przydział ziemi z jakiegokolwiek majątku, byle w tym tu powiecie. Oni są z dolin, ale tu jest bardzo ładnie, służyli tu w wojsku, więc...

Gazda uczuł się swobodnym dopiero przy koniach. Teresia wszakże, zgnębiona i osowiała, raczej bezwiednie, szaro przyglądała się harcującym przed nią rumakom i targującym się kupcom. Wójt zaś patrzył żywo i szacował zapamiętałe każdą przeprowadzaną sztukę. Nagle ktoś go trącił. Obejrzał się. Nie było przy nim nikogo. Doleciały go tylko śmiechy i chichoty, a potem zasyczało skądś — „prezes!“ Są i tacy — pomyślał. Zazdrość. Ale żeby wiedzieli, ilu się ludzi zasnęło dziś koło niego... Przybyło mu wagi w powiecie. Nic ta nie przeszkodzą śmiechy i pośmiechy.



Pokazują go sobie, mówią o nim, kłaniają się zdaleka, chodzą za nim... Ten Podskubek psia jucha! Z pozoru pół funta dziadowizny, a w rzeczy... Ktoby się spodział! Namącił, namącił, ale ta i cosi wymącił. Chciałby go zobaczyć, co ta zaś... Bo to niby nic, niby nic, a światem psia wiara trzęsie...

— Chodźmy — ciągnęła go Teresia.

— Chodźmy, bo południe tu — zgodził się wójt i spojrzał na żonę. — Cóżżeś taka osowiała?

— Nic.

Wracali w milczeniu. Gazdę skubali jeszcze różni przechodnie, lecz wykręcał się im, głosząc, że mu do starostwa pilno. W rynku rozstali się na chwilę. Gaździna poszła coś kupić dla Jadwisi, gazda miał czekać na nią znów, jak wówczas, przed Składnicą. Kręcił się tam właśnie, gdy nagle od ratusza mignął mu w tłumie znajomy kapelusik na samym czubku głowy. Rozdyndany surdut, pasiaste, nadęte wiatrem porcięta, potężne, amerykańskie buty... Wójt natężył wzrok. On! Podskubek! Radzi z chłopami, kłania się nisko babom. Wtem! — Kapelusik zakolebał się wysoko nad tłumem i Podskubek wali prosto na Składnicę. Dostrzegł wójta zdaleka. Kapelusik znów wyleciał w górę, zatoczył się, pofrunął w jedną i drugą stronę, poczem zahaczył się

o tył głowy, a wyciągnęły się naprzód długie, flaczaste, palczaste rączki.

— Witam! Witam pana prezesa w imieniu swoim i... jakże się cieszę! Dobra nasza — co? — trząś wójtem serdecznie. — Rumorek aż miło! Tak się robi początek. To dopiero początek! Nie wykazał pan jednak należytego hartu — jał karcić. — Nie ustępować nigdy, iść naprzód bez pardonu. Rezygnacja z wójtostwa była zbrodnią. Na szczęście w starostwie drżą przed... wogóle... Wiem wszystko. Jestem tu od dwóch godzin, za dwie godziny odjeżdżam. Gdybym był pana nie spotkał, byłbym dziś w Równi. Bardzo ważne sprawy. Musimy w każdym razie... co? Nie! Absolutnie musimy wejść na chwileczkę, pogadać w cztery oczy...

Stafiera próbował coś gadać i tłumaczyć, lecz delegat nie dopuszczał go do słowa. Z wielkim wysiłkiem zdołał zaledwie wywlec swą rękę z mokrych powojców Podskubka, który wobec tego chwycił wójta za rękaw i ciągnął go z rosnącym uporem do znajomego szynku. Stafiera stał jednak twardo w miejscu.

— Nie. Muszę tu czekać na żonę. Muszę — uderzył się w piersi.

— Znajdą nas. Nie znaleźli wtedy?

— Znaleźli — gazda spojrział bystro w oczy Podskubka.

Ale malutkie oczka delegata tak świdrowały, tak wierciły się i latały, że nie uważył w nich żadnego pomieszania ani zastanowy.

— No, nie traćmy czasu, panie prezesie. Od dzisiejszej rozmowy zależy wszystko. Albo, albo.

Nadeszła właśnie wójcina.

— Pójdziemy razem. To moja żona — wskazał wójt ręką na Teresię.

— Pani wójcina? Pani prezesowa! Cześć, moje uszanowanie, rączki się całuje. Co za zbieg okoliczności! Jan Podskubek jestem, delegat organizacji. Tak. Całuje się rączki. Delegat. I oczywiście chciałem porozmawiać z szanownym panem prezesem, ale poufnie, pani daruje nam pół godzinki? Ważne sprawy, bardzo poufne sprawy ze samej Warszawy. Za pół godzinki będziemy gotowi.

— Pójdziemy razem.

Podskubek uśmiechnął się, chciał jej dalej tłumaczyć, że to niemożliwe, wtem małe oczka jego odruchowo poszły za oczyma wójciny, która — stanąwszy z boku — oglądała go spokojnie i bardzo dokładnie z góry nadół i z dołu do góry.

— Kto was też tak wycudaczył? — parsknęła śmiechem.

Wójt trącił ją nieznacznie, żeby dała spokój. Podskubek niestropiony jej pytaniem, roz-

milił znów lotną skórkę na twarzy i dalej swoje.

— Musi pani łaskawie ustąpić. W cztery oczy, to w cztery oczy. To sprawy polityczne...

— Adyć i ja mam prawo do polityki. Nie głosuję? Nie wykandydowały się ta i baby do tej Warszawy?

— Ha, trudno. Jestem pobity. Ale pani wogóle trzyma z nami? Bo to zdarzają się żony...

I Jan Podskubek po drodze „na róg“ pluł warciutkie, mokre słóweczka, nasek mu brzdąkał i piszczął, czarno-żółte kielki wyskakiwały co pewien czas z wąziutkiej, ciasnej jamki, a oczka bezustannie latały, migaly i świdrowały. Surducik skakał po nim w górę i nadół, porteczki furkotały, zahaczając często jedna o drugą. W gospodzie zamilkł na chwilę. Teresia przeszła przez wszystkie izby, lecz Końdziarów nie było jeszcze. Usadowili się w trójkę w małej, półmrocznej izdebce. Wójt kazał podać piwo. Gaździna wyjęła z koszalki oszczepek i kukielkę.

— Więc — przyciszonym głosem podjął znów Podskubek — początek zrobiony. Huczek jest. Stafiera we wszystkich gazetach. Tak czy siak — ale jest. Reklama bezpłatna, niebywała, wściekła. Nazwisko znane dziś

najszerszym masom. A o to chodzi. Ale teraz, zaś trza z drugiej beczki. Panie prezesie — nadał głosowi ton uroczysty — przechodzimy do innej partji.

Stafiera otworzył usta szeroko, Teresia miała już łzy w oczach.

— To już postanowione. Nieodwołalnie. Po-  
był nasz w partji, której tak długo służyliśmy  
wiernie i z takim poświęceniem, został unie-  
możliwiony przez krótkowzroczność i za-  
chłanność przywódców. Chcą od nas pracy  
i poświęceń, a co wzamian dają? Co dają? —  
pytam się. Obietnice! Faramuszk! Potężna  
partja chłopska, ba! o wiele bardziej chłopska  
partja posła Kolki — daje nam dwom do wy-  
łącznej dyspozycji i eksploatacji gospodarcey  
i politycznej cały tutejszy okręg wyborczy.  
Sześć powiatów, sześć mandatów! Partja  
Kolki ma świetnie rozwijające się spółki  
drzewne i bydłące o wspaniałych, głośnych  
nawet z procesów tradycjach eksportowych  
i tym podobnych. Wszystko zorganizowane  
wzorowo. To też w najbliższym numerze na-  
czelnego organu tej partji („Miecz sprawiedli-  
wości“) ukaże się artykuł wstępny p. t.:  
„Niebywały szantaż „Walki“ na  
wójcie z Równi. Wójt Stafiera nie  
ma nic wspólnego z niedobitkami  
posła Ryby. Jest on starym szer-  
mierzem idei ludowej obozu posła

Kolki.“ Wychodzi nareszcie szydło z worka. Wciągnęli nas do żebrackiej bandy (tak piszę), ale my, t. j. Stafiera i Podskubek, nie daliśmy się (moje nazwisko będzie zawsze drukowane obok pańskiego). Cały powiat, ba! cały okręg stoi bezwzględnie po stronie jedynej chłopskiej partji i słuca wyłącznie szczerze ludowej komendy: posła Kolki. Rzecz oczywista, że przy tak masowem poparciu partja posła Kolki rozwinie w tym okręgu wyteżoną pracę, mającą na celu ekonomiczne odrodzenie wsi. Wszystkie dziedziny chłopskiego życia gospodarczego znajdą oparcie w odpowiednich instytucjach, które zorganizują pp. Stafiera i Podskubek. Wypróbowany szermierz sprawy chłopskiej, Jan Podskubek otwiera tamże już w dniach najbliższych sekretariat partyjny z biurem porad prawnych, pisania wszelkich podań i rekursów do władz, do niego też należy się zwracać z wszelkimi żalami, skargami, petycjami i t. d. (Tamże składać podania o pożyczki rządowe!) Do pracy zatem pod wspólnym sztandarem prawdziwie ludowym i chłopskim!... — Oto treść główna obszernego artykułu — kończył roznamiętniony Podskubek. — Jak zaznaczyłem więc, potężna partja Kolki dała do wyłącznej naszej dyspozycji i eksploatacji cały tutejszy okręg wyborczy. Bez nas nic się tu stać nie może. Dlatego musimy zawrzeć unję. Unję na amen.

Wtedy partja jeszcze bardziej będzie się z nami liczyła. Wybory niedaleko, postanowienia muszą już dziś zapaść. Na liście kandydatów pierwszy będzie Wojciech Stafiera, Jan Podskubek drugi...

— Teresa Stafiera będzie druga — wybuchnęła wójcina.

Podskubek zdębiał. Przez cały czas swej zaślinionej przemowy nie widział jej, nie widział nikogo, prócz „Miecza sprawiedliwości“, Stafiera i siebie.

— Hehe — zachichotał niepewnie — pani... żartuje!

— Ja nie żartuję — zacięła się pani prezesowa. — Gdzie chłop tam i baba. Przysięgałam mu wierność.

— I posłuszeństwo — wtrącił Podskubek.

— I posłuszeństwo. Niech powie, czy sie prociwi. Jak mamy rzucić dzieci i gazdostwo, to oboje. Jak posłowanie, to posłowanie...

Stafiera przymrużył oczy i milczał uparcie.

— Nie mam prawa? Nie wolno mi? — rozogniła się Teresa. — Tyle mi wolno, co i wam. O włos mniej, ani o włos więcej. Dru-gie miejsce moje!

— Ale partja — podjął znów Podskubek. — Partja posła Kolki...

— Na trzecie idę ja! — huknął Końdziara, który wraz ze swą babą wszedł przed chwilą i stał za Podskubkiem. — Co tu bedziemy

dziadowali na tych skałkach skalistych! Kie nam ta dobrotliwa partja daje wszystkie miejsca i od nas ino zależy, kto na nich ma być, to na czwarte pójdzie moja baba. Przeniesiemy się, wójcino, do Warszawy i bedziemy se tam brzuchami do góry leżeć, papieroski palić i winko popijać. No nie?!

Podskubek się zaperzył. Zerwał się z miejsca i próbował Końdziarę usunąć.

— Ja tutejszy — Końdziara usiadł na krześle Podskubka, a drugie przysunął babie. — Mnie tu nikt nie usunie. Nikto! Teraz jest sprawiedliwie. Tak ma być, jak przy tym stole. Pierwszy wójt, druga wójcina, trzeci Końdziara, a czwarte — moje babsko — ryknął, aż zadudniało.

— Panie prezesie — jął Podskubek wymachiwać rękami i cofać się ku drzwiom. — Idzie pan na to, co mówię, czy nie? Czy pan dotrzymuje słowa, czy też mam opublikować nagą prawdę o zdradzie — ?!

Stafiera zerwał się na równe nogi.

— Skąd się to przyplątało, czego to chce ode mnie, czego to chce to mokre?! — ryczał.

Ale Końdziara posadził wójta zpowrotem, odwrócił się ruchem kota i ujął Podskubka za kołnierz surduciny.

— W któreż miejsce ci dać? W pierwsze, czy w drugie? — zapytał nieomal pieszczotliwie.

— To gwałt! — piszczał Podskubek.



— Cichutko, moja glizdo, cichutko — mru-  
czał Końdziara. — Powiedz naprzód, co ta zaś  
nadrukujesz do tych gazet?

— To gwałt!

— Nie publikuj ta zaś Końdziary, chudobo,  
bo Końdziara bije... A o Stafierze, o wójcie,  
jakże ta zaś będzie? Uchwalisz ta z nim co?  
Pewnie jednogłośnie? Gadaaj, bom drzwi za-  
walił tobą i zacznę bić.

— Puśćcie!

— A nie przyjdiesz tu więcej?

— Nie.

— Nigdy?

— Nigdy!

— I gazet nam nie pošlesz za darmo?

— Nie.

— Ani drukowanych listów?

— Nie.

— No to pocałuj starą Końdziarkę w rękę.  
Końdziarowa schowała ręce pod chustkę.

— Widzisz ty, jaka ta Końdziarka pysz-  
na! — śmiał się Końdziara. — A teraz: zmiataj!

Końdziara pchnął Podskubka za drzwi  
i spokojnie zawrócił do stołu.

— No, to sie napijemy, wójcina, ale —  
wina! — rzekł, siadając.

A wójcina spojrzała na wójta.

— Końdziara — chłopie — błysnęły łyzy  
w oczach Stafierzy — dobrego, uherskiego  
wina! To była zmora!

I objął Teresię miłośnie, a mocno przygar-  
nął ją ku sobie.

## VI.

Gazdowie wrócili z jarmarku dobrze przed zachodem słońca. Jadwisia i Kubaś aż się zdziwili, bo nie spodziewali się swoich wcześniej, jak po zachodzie.

— I cożeście tam naprzędali, czy nakupili na tym jarmarku? — zapytała Jadwisia matki.

A matka spojrzała najpierw na ojca, potem zaś na dzieci.

— Dużo — odpowiedziała. — Sprzedaliśmy smutek, a kupili radość...

— Mamuszkę posłem wybrali — zaśmiał się ojciec.

— He, to tatuśka pewnie ministrem — zadworował sobie Kubaś.

I cała rodzina zaniosła się serdecznym, beztroskim śmiechem.

Poczem matka wyjęła z za pazuchy bogate, złoto-lśniące korale bursztynowe i podała je Jadwisi. Gazda zaś przywiózł Kubusiowi orawskie kostki na kapelusz i śmigłe pióro orle. Poczem gazda kazał znieść z wozu butlę wina i przystroić w białej izbie.

— Bo co? — pytała Jadwisia.

— Przyjdą Końdziarowie z Jaśkiem — uśmiechnęła się matka do córki.

## JAK WILSON WUDROW NA PREZY- DENTA WYSEŁ.

Ono będzie temu z pore roków, jako my go wybierali.

W Hamaryce wybory, panie święty, to nie tak jak u nos; u nos ta tyłajom, zaganiajom, labiedzom, jak mogom, ale — przeboccie — po dziadowskiu to idzie. W Hamaryce jest sie cemu przypatrzyć. Kie takie wybory przidom, to amen. Pedziołbyś jeden z drugim — koniec świata. Agencio ozpuscom języki, jak trajkotki, robota stoi. Mury, płoty, fabryki — sytko oblepione papierami, cobyś cytoł. Abo i pokraki malowane do śmiechu porobiom. Jeden pusco takie na drugiego. Jest sie — rzeke — cemu przypatrzyć. A i jo sie temu napatrzoł doś. Ruzwelt na Tafta, a Taft seł na Ruzwelta. Wortalo śmiéchu.

Wybory sły, cytali my ta te plakaty, bo ta cłek po anglicku juz doś zachycił, radzili my, ozmyślali, nale coz naozmysłos, kieś tak jak nie pili, niebarzo sie wyznos, jako ktory fce porobić, coby przecie i nom było lepiej. Do-

pieroz prziseł ku nom taki Końdziara Wincek od Cornego Dunajca, co w Cikagu porenoscie roków juz beł i niejedne hamarykańskie wybory odbył i ten nos zwoloł do salunu. Przišli chłopi od Chochołowa, od Krościenka, od Podolińca, ze Śpisa i Jabłońcane z Orawy, bo ta ci wdy ino z nami i w Hamaryce trzymali i w jednyk robotak z nami sioli — i radzimy.

Pado kumoter Końdziara — Wilson. Nie Taft, nie Ruzwelt, ba Wilson. Nale cozmy ta o Wilsonie wiedzieli. Beł tam z nami taki Furkotny Jacek, strasnie wyscekany, z Piniioskowic. Ten przepatrzoł Hamarykę. On tem stoi, ze w jednym miejscu nie usiedziol pół roka, a był w Hamaryce cosi roków seś. Tak penetrował. Ale robota mu sła. Dudki sie go trzymały, to coz mu ta. Ten wej Furkotny Jacek Wilsona znoł. Po anglicku godoł, jakby pacierze mówił, to mu ta — wiecie — wsendy było łacwiej wleś i z panami tyz nieroz ugwarzył. Dopiroz jak Końdziara godo tak i tak, to i to, ze niby Wilson fajny cłek i rzetelny i ku nom sie mo i cosi kasi, tak Furkotny jesse lepij.

— Wilson — pado — cłek prosty. Ani bogoc, ani owijac zoden, ani taki, ani siaki, ba poprostu pedzieć nas. Trzymo z nami.

— Eze prefesor, coz ta po takim? — ktorysi dorucił.

— Profesor? E ni mamy to i my profesorów z Podhola, abo i adwokatów i księdzów? Nie profesor je Stopka z Kościelisk, Kantor z Dunajca, Zochemski z Odrowąza? Dyć oni nasi, chłopscy, oni som jest profesorami, to Wilsonowi nie wolno być profesorem?

Jak sie — wiecie — Furkotny Jacek ospajedził, jak zacon godać, tak sie syćka nacudować nie mogli, ka ta telo do tej głowy naza- zbirował i jako to spamientoł i pozdajoł, ze mu to tak sło, jak woda. Wilson — pado — roboty puści, bo som jest robotny cłek. Wilson zniesie konwisje w Newjorku przy wysiadaniu. I bez grajczarka dojedzies, ka bedzies fciół, ino w głowie miej — pado — olej, a w rukak siłe. Wilson Miemców zatrzymo, a nos wpuści, ka becmy ino kcieli, bo ku nom wole mo. No i przecie syćkim równość zapowiadło i ślebode, jakom ino kto fce...

Tak my — wiecie — zaceni o Wilsonie myśleć. Jakosi niedługo pote cytomy na murak po anglicku — Wudrow Wilson na mitynku w Cikagu. Tak my hurmom pošli na ten mityng, po nasemu wiec. Byli tam różni. My jako Polocy, byli i Słowiocy, Madziarzy, Tallyany, byli i Litwini i różni, różni. Ale syćko to ino na nos pozierało, co my. A my, ze my to juz nojlepiej po anglicku umieli, nic, ino „jess! jess!“ — wołomy, a klaskomy Wilsonowi, bo okrutnie nom sie zwidziół, taki wié-

cie do ludzi, kieby nas, wygolony, rzetelniućki, przychylny. I wiecie, zapedioł wte, ze i o nas prawa — pado — dzielnego, pado, pracowitego ludu polskiego bedzie dboł..

He! myślę se. Jak ty, Wudrow, tak, to i my ci tak. Pozierom na Podholańców, na Śpisoków, na Orawców, oni na mnie. Ino my se głowickami kiwli. Juz my wiedzieli, ze Wilson. Pozieromy na Madziarów. A ci „nem tudum“. Dopieroz jo im z madziarska onacem. Onacymy Taljanom, Litwinom i insym. Tak my pociągnęli za Wilsonem cały naród robotny w Cikagu, a za Cikagiem w Bufalu i wsendy, ka ino polskie osiedliska bęły.

I powiem wom, ze moze i nie Końdziara Wincek i nie Furkotny Jacek to sprawili, ba on som, Wilson, kie sie tak miłosiernie do nos obezwol. Poznali my cłeka. Kie przysel ten dzień, ze trza było wygłosować, to sie widziało, ze z tyk nasyk głosów na Wilsona urośnie góra pod niebo. Tak my głosowali za nim. I wysel... Wilson Wudrow zostol prezydentem.

I kwalaz Panu Jezusowi, ze sie tak stalo. Nie wiedzielimy ta wte, ze mu Pon Bóg koze porządek zrobic na całym świecie. Nie wiedzieli my ta, ze przydzie wojna, a po wojnie jego prawo. Ale ono — rzeke — wte, kie sie tak miłosiernie ku nom obezwol, cosi mie pikło. I inojek se na Śpisoków i na Orawców

pojrzoł, a oni na mnie. I ino my se głowickami kiwli. Wiedzieli my juz, co i jak.

I dejze, Boze, cobyk sie jesce z nimi zesel, coby my se przybocyli, jako my to tego Wilsona razem obierali i jak on to wte miłosiernie do nos sie obezwoł i jak sie to wej dziś pięknie za nami ujon, za tom Polskom. Niegze mu ta Bóg do zdrowie...

1920.





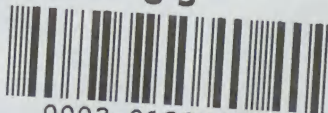


## SPIS RZECZY.

	Str.
1. O żołnierzu błędawcu . . . . .	1
2. Urlop . . . . .	7
3. Inkluz . . . . .	43
4. Echo . . . . .	77
5. Bunt pod Grapą . . . . .	86
6. Za czasów Obyrtacza . . . . .	105
7. Wdowcy . . . . .	124
8. Jarmark . . . . .	130
9. Jak Wilson Wudrow na prezydenta wysłał .	181

Miejska Biblioteka Publiczna  
w Zakopanem

**8-3**



0003-013933-00